



This is a digital copy of a book that was preserved for generations on library shelves before it was carefully scanned by Google as part of a project to make the world's books discoverable online.

It has survived long enough for the copyright to expire and the book to enter the public domain. A public domain book is one that was never subject to copyright or whose legal copyright term has expired. Whether a book is in the public domain may vary country to country. Public domain books are our gateways to the past, representing a wealth of history, culture and knowledge that's often difficult to discover.

Marks, notations and other marginalia present in the original volume will appear in this file - a reminder of this book's long journey from the publisher to a library and finally to you.

Usage guidelines

Google is proud to partner with libraries to digitize public domain materials and make them widely accessible. Public domain books belong to the public and we are merely their custodians. Nevertheless, this work is expensive, so in order to keep providing this resource, we have taken steps to prevent abuse by commercial parties, including placing technical restrictions on automated querying.

We also ask that you:

- + *Make non-commercial use of the files* We designed Google Book Search for use by individuals, and we request that you use these files for personal, non-commercial purposes.
- + *Refrain from automated querying* Do not send automated queries of any sort to Google's system: If you are conducting research on machine translation, optical character recognition or other areas where access to a large amount of text is helpful, please contact us. We encourage the use of public domain materials for these purposes and may be able to help.
- + *Maintain attribution* The Google "watermark" you see on each file is essential for informing people about this project and helping them find additional materials through Google Book Search. Please do not remove it.
- + *Keep it legal* Whatever your use, remember that you are responsible for ensuring that what you are doing is legal. Do not assume that just because we believe a book is in the public domain for users in the United States, that the work is also in the public domain for users in other countries. Whether a book is still in copyright varies from country to country, and we can't offer guidance on whether any specific use of any specific book is allowed. Please do not assume that a book's appearance in Google Book Search means it can be used in any manner anywhere in the world. Copyright infringement liability can be quite severe.

About Google Book Search

Google's mission is to organize the world's information and to make it universally accessible and useful. Google Book Search helps readers discover the world's books while helping authors and publishers reach new audiences. You can search through the full text of this book on the web at <http://books.google.com/>



Jest to cyfrowa wersja książki, która przez pokolenia przechowywana była na bibliotecznych półkach, zanim została troskliwie zeskanowana przez Google w ramach projektu światowej biblioteki sieciowej.

Prawa autorskie do niej zdały już wygasnąć i książka stała się częścią powszechnego dziedzictwa. Książka należąca do powszechnego dziedzictwa to książka nigdy nie objęta prawami autorskimi lub do której prawa te wygasły. Zaliczenie książki do powszechnego dziedzictwa zależy od kraju. Książki należące do powszechnego dziedzictwa to nasze wrota do przeszłości. Stanowią nieoceniony dorobek historyczny i kulturowy oraz źródło cennej wiedzy.

Uwagi, notatki i inne zapisy na marginesach, obecne w oryginalnym wolumenie, znajdują się również w tym pliku – przypominając długą podróż tej książki od wydawcy do biblioteki, a wreszcie do Ciebie.

Zasady użytkowania

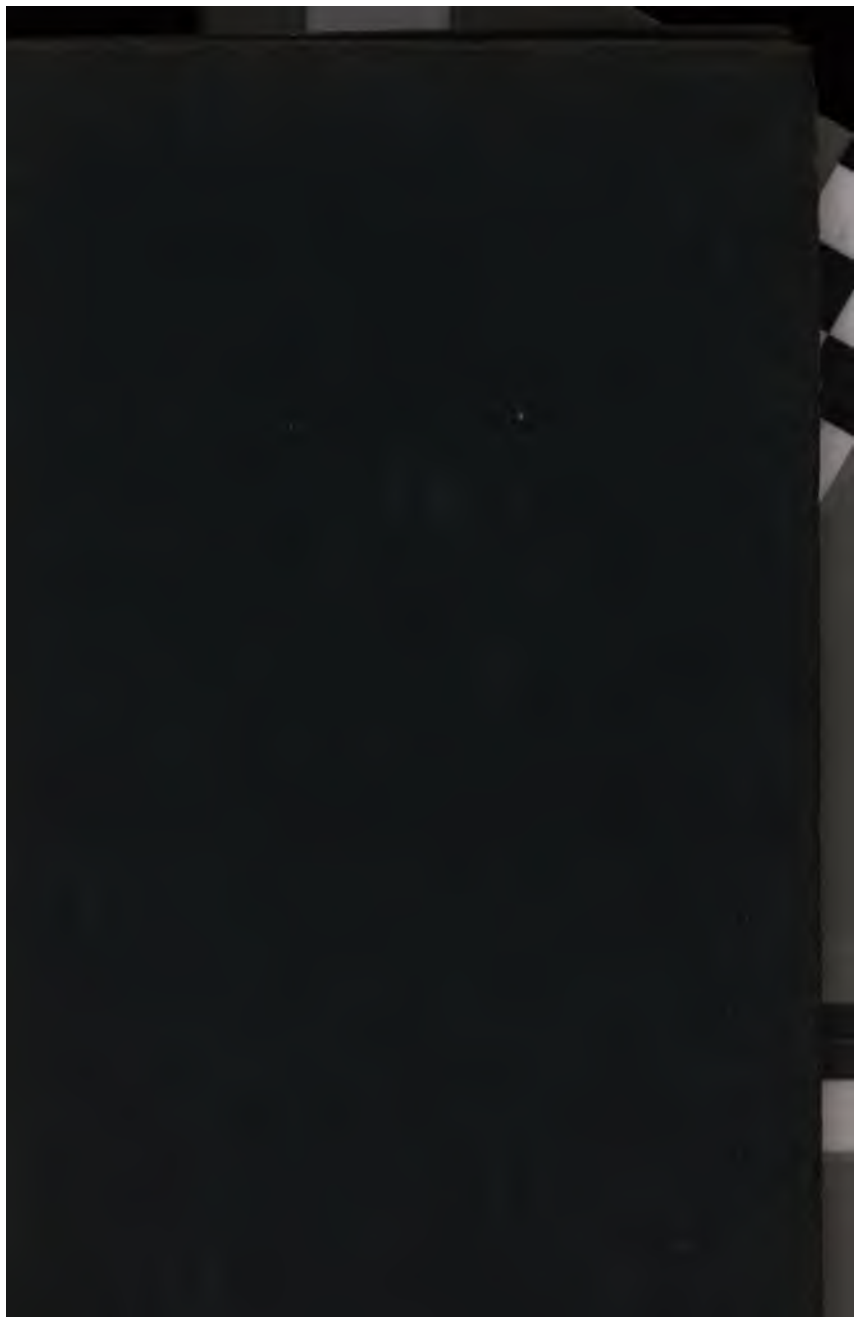
Google szczeni się współpracą z bibliotekami w ramach projektu digitalizacji materiałów będących powszechnym dziedzictwem oraz ich upubliczniania. Książki będące takim dziedzictwem stanowią własność publiczną, a my po prostu staramy się je zachować dla przyszłych pokoleń. Niemniej jednak, prace takie są kosztowne. W związku z tym, aby nadal móc dostarczać te materiały, podjęliśmy środki, takie jak np. ograniczenia techniczne zapobiegające automatyzacji zapytań po to, aby zapobiegać nadużyciom ze strony podmiotów komercyjnych.

Prosimy również o:

- Wykorzystywanie tych plików jedynie w celach niekomercyjnych
Google Book Search to usługa przeznaczona dla osób prywatnych, prosimy o korzystanie z tych plików jedynie w niekomercyjnych celach prywatnych.
- Nieautomatyzowanie zapytań
Prosimy o niewysyłanie zautomatyzowanych zapytań jakiegokolwiek rodzaju do systemu Google. W przypadku prowadzenia badań nad tłumaczeniami maszynowymi, optycznym rozpoznawaniem znaków lub innymi dziedzinami, w których przydatny jest dostęp do dużych ilości tekstu, prosimy o kontakt z nami. Zachęcamy do korzystania z materiałów będących powszechnym dziedzictwem do takich celów. Możemy być w tym pomocni.
- Zachowywanie przypisań
Znak wodny "Google" w każdym pliku jest niezbędny do informowania o tym projekcie i ułatwiania znajdowania dodatkowych materiałów za pośrednictwem Google Book Search. Prosimy go nie usuwać.
- Przestrzeganie prawa
W każdym przypadku użytkownik ponosi odpowiedzialność za zgodność swoich działań z prawem. Nie wolno przyjmować, że skoro dana książka została uznana za część powszechnego dziedzictwa w Stanach Zjednoczonych, to dzieło to jest w ten sam sposób traktowane w innych krajach. Ochrona praw autorskich do danej książki zależy od przepisów poszczególnych krajów, a my nie możemy ręczyć, czy dany sposób użytkowania którejkolwiek książki jest dozwolony. Prosimy nie przyjmować, że dostępność jakiegokolwiek książki w Google Book Search oznacza, że można jej używać w dowolny sposób, w każdym miejscu świata. Kary za naruszenie praw autorskich mogą być bardzo dotkliwe.

Informacje o usłudze Google Book Search

Misją Google jest uporządkowanie światowych zasobów informacji, aby stały się powszechnie dostępne i użyteczne. Google Book Search ułatwia czytelnikom znajdowanie książek z całego świata, a autorom i wydawcom dotarcie do nowych czytelników. Cały tekst tej książki można przeszukiwać w internecie pod adresem <http://books.google.com/>



Biblioteka Dzieł Wyborowych.

wychodzi co tydzień

w objętości jednego tomu.

Warunki prenumeraty.

W WARSZAWIE:	Z PRZES. POCZT.:
Rocznie (52 tomy) rb. 10	Rocznie (52 tomy) rb. 12
Półrocz. (26 tom.) „ 5	Półrocz. (26 tom.) „ 6
Kwartal. (13 tom.) „ 2 k. 50	Kwartal. (13 tom.) „ 3
Za odnośnienie do domu 15 kop. kwart.	

Cena każdego tomu 25 kop., w oprawie 40 kop.

Dopłata za oprawę:

Rocznie . (za 52 tomy) . .	rb. 6 kop. —
Półrocznie (za 26 tomów) . .	rb. 3 kop. —
Kwartalnie (za 13 tomów) . .	rb. 1 kop. 50
Za zmianę adresu na prowincyi	dopłaca się 20 kop.

REDAKTOR: ZDZISŁAW DĘBICKI.

WYDAWCA: KAZIMIERA GADOMSKA.

Redakcja i Administracja Warszawa, Warecka 4.
we Lwowie, Plac Maryacki l. 4.

DRUK: EDWARD NICZ i S-ka, NOWY-ŚWIĄT 70. Tel. 97-73.

№ 533.

Biblioteka Dzieł Wyborowych.

Juljusz Falkowski.



WSPOMNIENIA

Z ROKU

1848 i 1849

z przedmową

Tadeusza Gruźewskiego.

— CZĘŚĆ III —

Cena 40 kop.

W prenum. 30 1/2 kop.

WARSZAWA

Redakcja i Administracja Warecka 14. Tel. 114.30.

1908.

DK14307

F34

V. 3



WSPOMNIENIA Z R. 1848 i 1849.



Juljusz Falkowski.



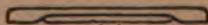
WSPOMNIENIA

Z ROKU

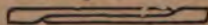
1848 i 1849

z przedmową

Tadeusza Gruźewskiego.



CZEŚĆ III.



WARSZAWA
DRUKARNIA ED. NICZ i S-ka, NOWY ŚWIAT 70.
1908.

BIBLIOTEKA
Państw. Instytutu
Kształcy Wsi
Katal. Nr. ~~2360/17~~
Inwent. Nr. ~~2360/17~~



1152

D3417 74

XII.

Seweryn Gałęzowski był Ukraińcem, kolegą Bohdana Zaleskiego i Seweryna Goszczyńskiego w szkole Bazylianów w Humaniu; kolegą Mickiewicza na uniwersytecie wileńskim lubo prawdopodobnie nie znali się wtenczas, uczęszczając na bardzo różne od siebie wydziały. Otrzymałszy dyplom doktora medycyny i chirurgii, Gałęzowski niedługo potem został profesorem chirurgii w uniwersytecie wileńskim, lecz przerwał swój kurs, aby się wydoskonalić w swojej sztuce za granicą, dzięki przeznaczonemu na podobny cel stypendyum, które mu uniwersytet przysądził. Był w Neapolu, gdy wybuchła rewolucya listopadowa; pośpieszył do kraju, przedarł się przez różne kordony, wstąpił do wojska jako chirurg i odznaczył się w ciągu wojny wielką biegłością w operacyach, nie mniej jak i szczególną gorliwością w pełnieniu swoich trudnych obowiązków, za co zaszczycony został krzyżem *Virtuti militari*, dosyć skąpo udzielanym chirurgom. Wyszedł z wojskiem za granicę i na dro-

dze tułactwa zatrzymał się czas jakiś w Getyndze, nie wiedząc, co z sobą pocznie. Radby był doskonać się dalej jeszcze w chirurgii w Niemczech, ale, przekonawszy się, że na gościnność rządów niemieckich liczyć nie może, rzucił okiem praktycznego człowieka na świat i zdecydował się szukać szczęścia na drugiej półkuli. Pojechał do Meksyku i przeżył tam lat piętnaście, praktykując medycynę i chirurgię. Wyrobił sobie ogromną klientelę i zyskał majątek i sławę, lecz gdy w 1848 r. zabłysła nadzieja wyzwolenia ojczyzny, — nadzieja, która przez pryzmat odległości wydawała się świetniejszą jeszcze, niż była rzeczywiście — wszystko porzucił, przebył ocean i przybył do Paryża, gdzie go zastałem. Był to już wtenczas człowiek niemłody (ur. 1801 r.) z siwą głową, postać miał pełną godności, w obejściu się był uprzejmy, słodki, pełen delikatności, lecz kto go zbliżka uważał, przekonywał się niebawem, że nie łatwo było wyrobić sobie o nim zdanie pewne. Charakter ten miał bowiem dwie strony dosyć różne. Z jednej strony był to człowiek ściśle i nieublaganie praktyczny w znaczeniu angielskim tego wyrazu, rządzący się w stosunkach z ludźmi rozumem i doświadczeniem, a nie uczuciem; szanował między współwygnańcami tych, którzy sami sobie radę dać umieli i nie potrzebowali niczyjej pomocy, czcil znakomitości narodowe, lecz dosyć chłodnym był dla biedaków, upadających w walce z nieszczęściem i którzy udawali się o braterską pomoc do ziomków. Zbyt oswojony on był z widokiem najśroźszych cierpień ludzkich fizycznych i moralnych, zbyt się napatrzal przy łożach

umierających ciosom niepowetowanym, straszliwym rozpaczom, istnieniom złamanym, zostawionym bez nadziei na świecie, ażeby mógł być skorym do współczucia i litości dla bied zwyczajnych. Przytem, podobnie jak większa część ludzi, mających do czynienia z wątlą machiną ludzką, był sceptykiem. Skalpel jego nie pokazał mu widomego siedliska duszy nieśmiertelnej w naszym organizmie, i przestał w nią wierzyć. Wtenczas i cała pocho-dnia wiary chrześcijańskiej zagasła przed nim, — a człowiek zmalał w jego oczach — schodził nawet na zero jako jednostka, jeżeli nie potrafił odznaczącym się talentem wznieść się nad poziom ogólny. Sceptycyzm ten zawiewał jak wiatr jesienny, strząsający kwiaty i liście, z pod jego nader układnej powierzchowności i gdy znikał z jego twarzy grzeczny uśmiech, który naturalny jej wyraz osłaniał, na ustach jego zdawały się zawieszzone słowa Hamleta: „*The man ravished me not and the woman no more*“ (mężczyzna nie zachwyca mnie bynajmniej i niewiasta nie więcej).

Takim był Gałęzowski widziany z jednej strony, lecz z drugiej strony przedstawiał się mąż wysokich cnót obywatelskich, kochający ojczyznę miłością namiętną, górującą nad wszystkim, tak jak ją kochali ludzie z 1830 r. i była to podobno jedyna namiętność, jaką znał w całym ciągu swojego życia, a z nią łączyła się jakaś wzniosła filozofia moralna podobna do moralności Zenona, lub raczej Spinozy, która w duszy jego zajęła miejsce straconej wiary. Nie mogła ona zastąpić tego żywego źródła miłości bliźniego i miłosierdzia, który płynie

z sere, na wskroś przejętych Ewangelią, ale przywiązywała go przynajmniej do wszystkich szlacheckich idei.

Samotny na świecie, wolny od wszelkiej próżności i żądz kosztownych, stworzywszy sobie majątek, więcej, niż wystarczający na własne swoje potrzeby, powiedział sobie na progu starości, że nie może lepiej użyć reszty życia, jak poświęcając go na spełnienie jakiejś misji pożytecznej dla emigracji i dla przyszłej Polski. Nie miał zapewne żadnego wyrobionego w tym względzie planu, opuszczając Meksyk. Biegł tylko za błędnym ognikiem patriotycznych nadziei, które za przybyciem jego do Paryża znikaly już w mrocznej dali, ale w tej stolicy świata i zarazem stolicy emigracji, upatrył dla siebie cel, odpowiadający usposobieniom jego umysłu i charakteru. Szkoła Polska w Batignolles była w stanie oplakany, bez opieki, bez fundusów, z 30-tu lub 40-tu najwyżej uczniami internami, których utrzymać nie było za co i profesorami, którzy tych uczniów niczego nauczyć nie byli zdolni. Ażeby zakład ten wydzwignąć z upadku, trzeba było poświęcenia i wytrwałości takiego księdza Baudouina, założyciela domu podrzutków, lub takiego księdza Jakóba Falkowskiego, założyciela instytutu głuchoniemych w Warszawie i Gałęzowski się tego podjął. Sądził on, że szkoła batignolska, gdyby się udało podnieść ją, opatrzyć funduszami i zreorganizować jak się należy, wyrobiłaby nowe pokolenie polskie na ziemi wygnania, wierne tradycyi ojców swoich i któreby użytecznie służyć mogło sprawie narodowej. Przejęty tą myślą potrafił wymową swo-

ją pozyskać dla niej najmożliwszych rodaków między emigrantami lub bawiącymi czasowo w Paryżu jako zwykli goście zimowi. Demokrata z przekonania, szukał jednak i w krótkim czasie znalazł w tem kółku arystokratycznym dosyć serc ofiarnych, ażeby założyć Towarzystwo na akcyę, — nie posiadaczom swoim przynosić nie mające — dla zbudowania obszernego i dogodnego domu na Batignolach na pomieszczenie szkoły polskiej. Było takich akcyi 20, każda po 10,000 franków. To był pierwszy owoc zachodów Gałęzowskiego. Gdy dom stał, wprowadził do szkoły, jako prezes jej zarządu, program liceów francuskich, a z nim wszystkie ulepszenia potrzebne; lepszych nauczycieli; ściślejszy dozór, większą karność, zdrowsze i obfitsze pożywienie i większe wygody. Odtąd liczba uczniów wzrastała od roku do roku i w kilku latach z 30-tu czy 40-tu podniosła się do dwustu kilkudziesięciu, a coroczne egzamina wobec urzędników uniwersyteckich francuskich, nagrody i odznaczenia, przysądzane uczniom, świadczyły o ciągłym i ogólnym ich postępie we wszystkich gałęziach wiedzy; ale w miarę jak wzrastała szkoła, rosły i jej potrzeby, budżet jej wydatków wynosił średnio około 180,000 franków rocznie, a dochody z opłaty od uczniów nie przynosiły 30,000 franków; największa część bowiem pobierała nauki i utrzymywana była bezpłatnie. Gałęzowski, poparty przez księcia Czartoryskiego, uzyskał od rządu francuskiego 70,000 franków rocznego wsparcia dla swojej szkoły, a w ostatnich latach cesarstwa wyrobił jeszcze, że ją zaliczono do instytucyi publicznej użyteczności, co, zdawało

się być zabezpieczeniem dla niej opieki rządowej na zawsze, ale około 80,000 franków trzeba było jeszcze co rok znaleźć dla wyrównania budżetu i Gałęzowski był niezmordowany w zabiegach, ażeby ten ciągle powtarzający się niedobór zapelniać. Zrósł się on był ze szkołą batignolską, był jej duszą, jej opatrnością przez lat więcej, niż dwadzieścia, a wziętość, jaką pozyskał w klasie możnych rodaków, których spotykał w zimie w Paryżu, w lecie w miejscach kąpielowych, dokąd co rok umyślnie za nimi jeździł, była taka, że nikt żadanego datku odmówić mu nie śmiał; kilka źródeł nawet miał stale zapewnionych. Słyszałem niektóre damy, nazywające go nowym św. Wincentym à Paulo, a najdobroczynniejsze z nich wzięły były sobie za regułę, odwoływać się ogólnie do jego zdania, wiele razy chodziło o wsparcie jakiejś ciężkiej niedoli w emigracyi. Jedno słowo jego wystarczało, aby biednego emigranta ocalić od rozpacz, ale Gałęzowski słówek takich skąpil. Uczucia jego zmierzone były ku celom ogólnym i, jak napomknąłem wyżej, nie rozdzielał ich na drobną monetę litości dla jednostek. To mu narobiło wielu nieprzyjaciół, a było parę smutnych wypadków, w których sam wyrzucać sobie musiał, że nie miał natchnień litościw-
szych.

W ostatnich latach życia doczekał się tego zmartwienia, iż widział ów zakład batignolski podźwigniony, odtworzony, wypielegnowany przez siebie, chylący się znowu ku upadkowi. Klęski, poniesione przez Francję w 1870 r. i haracz 5 miliardów nałożony na nią, oddziaływały i na szkołę bati-

gnolską. Rząd francuski odmówił nadal stałej subwencji na jej utrzymanie. Był to cios dotkliwy, ale którego skutkom zaradzić jeszcze potrafił Gałęzowski. Sprzedano korzystnie Radzie municypalnej Paryża obszerny dom szkoły, wybudowany przed dwudziestu laty i już obciążony długami i zbudowano nowy, w skromniejszych rozmiarach, a Gałęzowski puścił się w pielgrzymkę do W. Ks. Poznańskiego i Galicyi, ażeby pukać do serc polskich o wsparcie dla zubożalej szkoły. Odbył dwakroć tę podróż i zebrał więcej, niż dostateczny fundusz dla prowadzenia dalej swojego dzieła, ale jest inna jeszcze przyczyna chylenia się do upadku zakładu batignolskiego, której ani Gałęzowski, ani nikt po nim nie zaradzi, a tą jest gaśnięcie emigracyi polskiej, a z nią i pierwiastku polskiego na ziemi francuskiej. Gałęzowski oddawał znakomite przysługi emigrantom, dając im sposób wychowania synów za niewielką opłatą, a w wielkiej części bezpłatnie; był dobrodziejem dla tych biednych dzieci, z których zrobił ludzi wykształconych, mogących poradzić sobie na świecie — ale zawiódł się w nadziei, że wyrobi nowe pokolenie polskie na ziemi wygnania. To było niepodobnem. Ci synowie Polaków, zrodzeni w największej części z matek Francuzek, wzrosli w atmosferze francuskiej, nie odetchnawszy nigdy polskiem powietrzem, nie są już Polakami; wogóle nawet bardzo licho po polsku mówią. Wytworzyła się z nich jakaś klasa ludzi bez narodowości wybitnej, bez tradycyi, bez innej przyszłości jak ta, że się z czasem zleją zupełnie z żywiołem francuskim Gałęzowski postrzegał to ze smutkiem,

a za pierwszej bytności swojej w Krakowie, widząc w tej stolicy Piastów i Jagiellonów, tak szybko rozkwitające, za pierwszym braskiem pomyślniejszych czasów, instytucye naukowe z polskim językiem wykładowym i młodzież ze wszystkich części Polski, garnącą się tłumnie do tych ognisk narodowej edukacyi, powiedzieć sobie musiał, że pokolenia polskie wyrabiać się tylko mogą na ziemi ojczystej, gdzie narodowość nasza z nieprzeliczonych i niewyczerpanych źródeł płynie; gdzie ją wszystko podtrzymuje i podsyca: pomniki przeszłości, groby ojców, nakoniec sama natura polskich krain, spojona z polską duszą, gdy przeciwnie na obczyźnie wszystko jest dla niej zabójczem. Dlatego to zapewne myśl sędziwego opiekuna dzieci wygnañców zwróciła się ku starej naszej *alma mater* i zaczął na schyłku życia zbierać fundusze już nie na szkołę batignolską, ale na ufundowanie stypendyów dla najzdolniejszych kandydatów do katedr profesorskich na uniwersytecie krakowskim, ażeby mogli wydoskonalić się ostatecznie w swoim zawodzie za granicą — pamiętał, że takiemu stypendyum zawdzięczał sam podróż swoją naukową zagranicę.

Na parę miesięcy przed zgonem mógł ustanowić jedno wspaniałe stypendyum, 5,000 franków rocznie, i nadał mu imię Jana i Andrzeja Śniadeckich. Marzył o szeregu innych stypendyów temu podobnych, jak się to pokazuje z ostatniego listu jego, już nad brzegiem grobu pisanego do prezesa akademii umiejętności w Krakowie, doktora Mayer'a: „...Szerokie rozwinięcie tej myśli, — pisze

on — było, mogę śmiało powiedzieć z niezapomnia-
nym poetą:

Ostatniem mojem ziemskim uczuciem na świecie,
Którym tulił, hodował jak najmilsze dziecię“.

Prawdopodobnie pierwszym początkiem fundu-
szu na nowe stypendyum była suma 12,000 fran-
ków, którą na dwa dni przed śmiercią polecił sło-
wnie swojemu synowcowi przesłać temuż samemu
uczonemu mężowi, ażeby jej użył według swojego
uznania. Dowód to rozczulający, że do ostatniej
chwili życia, celem „myśli jego było przysposobie-
nie, użytecznych ojczyźnie, przyszłych pokoleń.

Miło mi zaznaczyć jeszcze szczęśliwy zwrot
w jego umyśle na kilka tygodni przed śmiercią.
Pogodził się szczerze z Bogiem i umarł po chrze-
ścijańsku.

XIII.

Nie sama medycyna wydała w emigracyi ludzi użytecznych. Ze szkół specjalnych wyszedł liczny zastęp Polaków, konduktorów dróg i mostów i *Agents-Voyers*, czyli konduktorów ulic w miastach i dróg prowincjonalnych. W pewnej epoce było jednych i drugich razem kilkuset¹⁾. O konduktorach dał najchlubniejsze świadectwo w ostatnich latach drugiego cesarstwa minister robót publicznych. Znany z ekscentryczności margrabia de Boissy²⁾ zarzucał w senacie rządowi, że napchał Polakami służbę dróg i mostów. Na to minister odpowiedział, że konduktorowie Polacy odznaczają się wielką zdolnością, pracowitością, uczciwością

¹⁾ Licząc w to i *Agents secondaires*, którzy po zdaniu egzaminu zostawali konduktorami. Tu trzeba mi dodać, że bardzo wielu z pomiędzy konduktorów i Agent-Voyers nie potrzebował całego kursu odbyć w szkołach specjalnych, ale tylko douczyli się, ażeby móc zdać egzamin.

²⁾ Mąż dawnej hr. Gulecoili, ostatniej kochanki lorda *Byrona*.

nieskazitelną i oddają krajowi rzetelne usługi. Mogłoby to samo być powiedzieć o *Agents-Voyers*, lecz nie od niego zależeli, tylko od ministra spraw wewnętrznych, a bezpośrednio od prefektów.

Stopień konduktora dróg i mostów pierwszej klasy był dla Polaków najwyższym szczeblem, do jakiego sięgać mogli w zawodzie inżynierskim. Inżynierem rządowym żaden zostać nie mógł, bo do tego trzeba było mieć dyplomy, jeden ze szkoły politechnicznej, drugi ze szkoły dróg i mostów, do których to szkół cudzoziemcy nie mają przystępu, chyba tylko, jako wolni uczniowie, wyłączeni od przywilejów, służących uczniom zwyczajnym. Z tejże samej przyczyny niepodobna było także Polakowi, lub prawie niepodobna, otrzymać posadę inżyniera w kompaniach prywatnych, bo o takie posady wysoko płatne ubiegali się najzdolniejsi inżynierowie rządowi. Jednemu tylko, Chobrzyńskiemu, inżynierowi cywilnemu ze szkoły Centralnej udało się zostać inżynierem naczelnym ruchu przy drodze północnej, a winien to był głównie powinowactwu z bankierami Perreir'ami, których kuzynkę miał za żonę¹⁾. Zacytować mogę jednak jednego inżyniera cywilnego, Polaka, który piękną reputację i piękny majątek zyskał pracami swojemi jeszcze przed rokiem 1848, to jest przed zbudowaniem wielkich linii kolei żelaznych. Był to Wędrychowski, który zbudował większą część mostów na Saonie i Rodanie, a przyszedł do Francji już ze swoją

¹⁾ Jest jeszcze drugi inżynier, Polak, uczeń szkoły centralnej na drodze żelaznej północnej, Mirecki.

umiejętnością. Był bowiem przed 1830 r. profesorem w nowo zaprowadzonej szkole politechnicznej w Warszawie.

Medycyna i inżynierstwo były to, jak widzimy dwa zawody, w których Polakom we Francyi dosyć się poszczęściło. W innych, nie mówiąc już o przemyśle i handlu, mała bardzo liczba tylko dobiła się pewnej wziętości lub korzystnego pod względem materyalnym stanowiska. Najdalej zaszedł Ludwik Wołowski, bo aż do Akademii umiejętności moralnych i politycznych i do senatu, przeszedłszy przez Izbę deputowanych. Drogę mu uTORowały nauki uniwersyteckie odbyte we Francyi, obywatelstwo francuskie, doskonała znajomość języka francuskiego, obszerna wiedza w zakresie prawodawstwa i ekonomii politycznej, pisma, które wydawał, wykłady, jakie miewał, głównie dla klasy rzemieślniczej w konserwatoryum sztuk i rzemiosł, przytem niezaprzeczenie tytuł Polaka. Zdolności jego były wielce we Francyi cenione, choć w teoryi ekonomicznej nic nowego nie napisał, ani powiedział, ale miał zdrowy rozsądek, opinie umiarkowane i niezachwiane, wielki takt i ogromną pracowitość. Temi zalecaniami, które nie są wcale powszechne, stał się użytecznym swojej nowej ojczyźnie, nie zapominając nigdy o dawnej. Największa przysługa, jaką oddał Francyi, była niewątpliwie ta, że zdrowym rozsądkiem swoim i uporną walką za swoim przekonaniem ustrzegł izbę deputowanych w r. 1868 i 1869 od zaprowadzenia we Francyi jednometalowej, to jest wyłącznie złotej, waluty, jak tego chciało liczne
a w pewnej chwili przeważniejsze stronnictwo pod

kierunkiem utalentowanego, ale trochę fantastycznego ekonomisty, niegdyś St. Simonisty, Michała Chevalier, którego popierał ogromnym wpływem swoim „Journal des Débats“. Będąc profanem w tej materii muszę się powołać na opinię kompetentnego w tej mierze pisarza, który zasługę Wołowskiego w „Czasie“ a następnie w oddzielnej broszurze ¹⁾ w pełnem świetle wystawił.

Głównym argumentem stronników jednometalowej waluty były oscylacye, zachodzące zbyt często w stosunku wartości złota do srebra. Wołowski bardzo logicznie argument ten zbijał. Dowodził—jak powiada ów bezimienny pisarz—„że gdzie dwumetalowa moneta jest zaprowadzona z ulegalizowaniem uskutecznienia wypłat jedną lub drugą podług wyboru płaćącego, tam przewaga chwilowego kursu jednej monety nad drugą utrzymać się nie może, bo jeśliby np. z jakichkolwiek przyczyn złoto nabrało chwilowo większej wartości, wszyscy zaczęną uskuteczniać wypłaty swe w srebrze jako tańszym środkiem uiszczenia się ze swych zobowiązań, co wywołać musi większe poszukiwanie tego metalu, a tem samem zwyżkę jego kursu. Wyrównanie więc zachwianego na chwilę stosunku wartościowego obu metali zostanie niebawem przywrócone, uważał więc Wołowski wszelkie obawy, wynikające z zaprowadzenia lub zatrzymywania dwumetalowej waluty za płonne i niemające żadnej podstawy eko-

¹⁾ Ludwik Wołowski, w Krakowie, czcionkami drukarni „Czasu“ 1878 r.

onomicznej, zwracał zaś uwagę na to, że do powszechnego zaprowadzenia waluty złotej, jest jeszcze zamało złota w świecie, że potrzebom cyrkulacyjnym tylko oba metale mogą zadość uczynić, utrzymując nadto, że tylko szczególny zbieg okoliczności, któryby wielką ilość monety metalowej chwilowo w jednym państwie zgromadził, mógłby je uzdolnić do zaprowadzenia nagle u siebie wyłącznie złotej monety, a i w takim nawet razie nie obyłyby się bez chwilowych przesileń na targach pieniężnych.

„Zaprowadzenie jednometalowej waluty, mogłoby też—zdaniem jego—dla zbyt małej ilości tego metalu zostającej w obiegu, spowodować najokropniejsze finansowe katastrofy, w chwili, gdyby nadzwyczajne jakie wypadki, wymagały nagłego zlikwidowania niezwykle wielkich sum w brzęczącej monecie”.

„Przekonywując wszystkich w ten sposób, Wołowski przemawiał jakby wieszczym duchem. Ankiety, w których zdanie jego przeważało, odbywały się we Francji w latach 1868 i 1869, a w dwa lata potem operacye finansowe połączone z wypłatą kontrybucyi francuskiej, stały się praktycznym dowodem, jakich katastrof finansowych unikła Francja przez to, że w chwili nałożenia kontrybucyi miała dwumetalową walutę i mogła się przez to dowolnie posługiwać tak targami, które miały złotą walutę, jak i temi, które miały mieszaną, lub wyłącznie srebrną”.

Francja zapłaciła pięcio-miliardową kontrybucyę, używając na to podług raportu p. Leona Say,

złożonego izbie deputowanych, tylko 273 milionów złota, a 239 milionów srebra francuskiego, resztę złożyła w wekslach, których przeważną część nabyła na targach walutę srebrną posiadających. Uiszczanie się w dwu metalach dozwoliło jej rozdziału wypłaty na wszystkie główne targi pieniężne europejskie, ułatwiając przez to operację, która mimo poruszania tak znacznych sum, nie sprawiła żadnych wstrząśnień gwałtownych w zwyczajnej cyrkulacji pieniężnej”.

W początkach cesarstwa Wołowski, usunąwszy się z politycznej sceny, lecz chcąc być użytecznym Francyi, stworzył instytucję kredytu ziemskiego (*Credit foncier*) trochę na wzór towarzystwa kredytowego Polskiego. Moźni emigranci, jak hr. Ksawery Branicki, książę Eustachy Sapieha i paru innych, wzięli w tem przedsiębiorstwie znaczny udział jako akcyonaryusze i dobrze na tem wyszli. Wołowski umieścił w biurach wielu emigrantów — ale zakład nie odpowiedział zupełnie celowi — kwestya kredytu ziemskiego nie trudna była do rozwiązania w Polsce Kongresowej, gdzie ziemia podzielona na wioski, hypoteki bardzo porządnie urządzone a przychód z gospodarstwa rolnego za czasów Lubeckiego wynosił najmniej 6^o/_o, ale we Francyi jest nierównie trudniejsza. Tam ziemia podzielona na przeszło 5 milionów parcelek, system hypoteczny zagmatwany a przychód w mniejszych tylko parcelkach dochodzi do 5 lub 6^o/_o, większe własności nie przynoszą jak 3^o/_o. Nic więc dziwnego, że system kredytowy ziemski na zasadach Lubeckiego przyjąć się dobrze we Francyi nie mógł. Kreacya

Wołowskiego została znacznie zmieniona, dyrekcya przeszła w inne ręce, lecz i to nie wiele pomogło. Kredyt ziemski francuski utrzymuje się dziś raczej z pożyczek na domy, niż na grunta, które lichwa ciągle uciska.

Jeżeli dobre chęci Wołowskiego odwrócenia tej plagi od gospodarstwa rolnego we Francyi nie otrzymały zupełnego skutku, to, nie licząc owej wielkiej przysługi, o której tylko co mówiłem, tyle ile innych pomniejszych oddał on swojej przybranej ojczyźnie jako członek izb prawodawczych, jako profesor, jako pisarz, że akademia umiejętności moralnych i politycznych, ogłosiła konkurs za najlepsze ocenienie w rozprawie lub dziele oddzielnem, jego pism i jego działalności.

Obok Wołowskiego wymienić jeszcze można kilku innych emigrantów, którzy pracą także użyteczną dla Francyi wyrobili sobie mniej świetne, ale niemniej zaszczytne sytuacje. Było i jest jeszcze w emigracyi trzech orientalistów pierwszorzędnych. Kazimierski najlepszy tłumacz Alkoranu na język francuski i tłumacz Sadiego na język polski; Aleksander Chodźko, dawniej poeta pełen wdzięku, któremu Mickiewicz wróżył świetną przyszłość, gdy był jeszcze Olesiem, później badacz wschodnich literatur, mianowicie perskiej, dziś profesor literatury słowiańskiej w „Collège de France” i Kleczkowski synolog. W piśmiennictwie francuskim Leonard Chodźko położył wielkie zasługi, rozpowszechniając we Francyi znajomość historii polskiej, Krystyn Ostrowski zajął niepoślednie miejsce między poetami francuskimi a Julian Klaczko między publicy-

stami. Nakoniec dwóch emigrantów, o ile mi wiadomo, dwóch Ostrowskich, doszło do posad wysokich; jeden był naczelnikiem biura statystycznego w kompanii drogi żelaznej z Paryża do Lyonu i Marsylii i pomieścił w tym biurze ilu tylko mógł Polaków, drugi Ostrowski, Stanisław, syn wojewody, miał znakomity urząd w ministeryum spraw wewnętrznych (dziś jest w Polsce).

Doszliśmy do najwyższych szczytów, do jakich dosięgli emigranci pracujący. Teraz zejdźmy na padół między tych, którzy nie pracowali i przeto nie nie zarabiali lub przemijające tylko mieli zarobki. Takich było w roku 1838 przeszło 1900, a w roku 1848 zapewne jeszcze z 1500.

Serce się kraje, myśląc o tej ogromnej liczbie Polaków, rzuconych losem na obcą ziemię bez innego sposobu do życia, jak te szczupłe subsydyja, które Francya poczuła się w obowiązku im wyplacać, a które chroniły ich tylko od głodowej śmierci. Były one zastosowane do stopni wojskowych, jakie mieli w 1831 r. Żołnierze i podoficerowie pobierali w 1848 r. 15 fr. na miesiąc, oficerowie niżsi od 25 do 30 fran. wyżsi od 30 do 50 fr. Generalowie 100 franków. Płaca niewojskowych była dosyć dowolnie ustanowioną. Posłowie byli porównani z generalami, to jest pobierali 100 franków miesięcznie. Mickiewiczowi przysądzono, jak widzieliśmy, w epoce gdy nie miał żadnej posady, 80 fr., inni mieli daleko mniej, po większej części od 25 do 40 fr. miesięcznie. Do tego dodawał czasem rząd francuski na podawia

emigrantów i, przekonawszy się dowodnie o ich rzeczywistej potrzebie, jednorazowe wsparcia.

Zważyć należy, że w tej liczbie 1500 niepracujących, była niemal połowa starców niedołężnych lub nieumiejących wcale po francusku, a między nimi niektórzy mieli żony i dzieci. Druga część, większa, niepracujących emigrantów składała się podług statystyki policyjnej z ludzi zdrowych, mogących pracować, lecz niemających roboty. Sądziłoby można, że się lenili do pracy, a tak nie było. Wieluż to oficerów konstantynowskich, którzy jeszcze mieli siły, pracowało w różnych rzemiosłach, jakie zdołano im wynaleźć. Byli zecerami w drukarniach, mianowicie u Martineta w Paryżu, drukującego polskie książki, rzemieślnikami w rozmaitych warsztatach, dozorcami w różnych zakładach i t. d. Pamiętam jednego starego wiarusa, niegdys żołnierza w pułku lekkokonnym gwardyi Napoleona, później wachmistrza w gwardyi Szaserów, a nakoniec kapitana, czy nawet majora w wojnie 1031 r., który ozdobiony krzyżami legii honorowej i *virtuti militari*, był odźwiernym w dworcu drogi żelaznej w Amiens w bramie, przez którą wchodzili i wychodzili rzemieślnicy, a obowiązkiem jego było zapisywać ich i pilnować, żeby nie wychodzili bez pozwolenia przełożonych. Nazywał się Miłodrowski, z czego Francuzi zrobili Milordowski, a przez skrócenie Milord. Raz przyjechał Napoleon III z żoną do Amiens i kawalerowie legii honorowej przedstawiali mu się, to jest przeciągali rzędem przed nim w sali audyencyonalnej. W ich liczbie był Miłodrowski, wystrojony na tę okoliczność w dawną jakąś czamarkę,

czapkę rogatą i z dwoma krzyżami swojemi na piersiach. Gdy przechodził przed Napoleonem, ten rzekł do żony dosyć głośno: *Voilà un Polonais*. Miłodrowski usłyszał to, zrobił pół obrotu w lewo, stanął frontem przed cesarzem, podniósł rękę do czoła i odezwał się śmiało: *Oui, mon sire (?) polonais*. Napoleon uśmiechnął się, a lubo Miłodrowski, wracając między legionistów, wykrzyknął jeszcze w dodatku na całe gardło: *Vive l'empereur!* Nowy cesarz francuski ani pomyślał ulżyć ciężkiego losu osiwiałemu wojakowi z pod Somosierry, który podobnie, jak wielu innych, nie zważając na swoją biedę, obarczył się był liczną familią.

Wszystkie sposoby zarobkowania, które tylko co wymieniłem, były bardzo mizerne, a jednak niezmiernie trudno było ich dostać. Do innych zaś trzeba było przysposobienia, na którym starym naszym wiarusom zbywało. Nie wielu ich po kilkunastu latach pobytu we Francyi lepiej mówiło po francusku od Miłodrowskiego, większa część gorzej jeszcze. Przytem edukacya w Polsce tak mało się liczyła z warunkami praktycznego życia, że rzadkim był Polak, mający dobre piśmisko lub umiejący władać cyrklem, reisgrafem i piórkiem rysowniczem, czem by mógł już być zarabiać sobie jako tako na życie we Francyi. Nic więc dziwnego, że na liczbę przeszło 5,000 emigrantów polskich we Francyi w r. 1838, było 870, a w r. 1848 ze 600 przynajmniej, którzy nienależąc do kategorii starców lub niedołężnych, nie mogli jednak żadnego wyrobić sobie stałego sposobu do życia. Miewali niektórzy przemijające zarobki i to były chwile szczęśliwe w ich ży-

ciu, ale potem trzeba było wracać do biedy z ciężkim żalem w sercu. Większa część i takich chwil nie miała, bo za przemijającym nawet zarobkiem trzeba było czynić wiele zachodów, prosić, przypominać się, kłaniać, a stary wiarus wołał najczęściej poprzestać na suchym kawałku chleba, niż podobnemi upokorzeniami okupywać sobie niedługo trwałą ulgę w biedzie.

Ludzie ci z hardą duszą, o to tylko dbali, żeby się nikt nad nimi nie litował, żeby nikt nie domyślił się, że cierpią głód, że nie mają ognia w ziemie, że w chorobie niestaje im na lekarstwo. Przez 10, 20, 30 lat grali oni tę straszliwą komedię nadrabiania miną, aby sądzono, że im na niczem nie zbywa, gdy tymczasem życie ich było powolnem konaniem.

Znałem dobrze jeden egzemplarz tego rodzaju. Był to pułkownik czy podpułkownik saperów z r. 1831, Franciszek Gawroński. W końcu r. 1849, przebywając dla prywatnych interesów kilka tygodni w Lyonie, gdzie mieszkał, byłem świadkiem jego życia i odmaluję go wiernie ze wszystkimi szczegółami.

Pułkownik Gawroński mały, szczupły staruszek z białą głową i dobrotliwą fizyonomią żył z 45 franków miesięcznego żołdu; ziomkowie chcieli mu dać sposób powiększenia sobie dochodu i nastęrczyli mu komis do sprzedawania jakiegoś mydła marsylskiego, nowo wynalezionej i któremu przypisywano wysokie zalety. Na usilne ich namowy zgodził się stary pułkownik spróbować tego chleba; *główny komisant* do sprzedaży owego mydelka, do-

brze go wyuczył jak ma towar zachwalać, i pułkownik nasz, zrobiwszy znak krzyża świętego, puścił się w wędrowkę po Lyonie. Zaszedł do jakiegoś kupca zamożnego, który między innymi rzeczami sprzedawał także i mydelka. Ten, widząc człowieka poważnego, dekorowanego, z białą głową przyjął go z największą grzecznością i poprosił do swojego gabinetu, ale gdy mu pułkownik zaczął prawić swój boniment, poznawszy, że to nie jest klient, tylko komisyoner, zmienił nagle ton i przerywając mu odezwał się: *Qu'est ce que vous me chantez là?* (Co mi tam pan śpiewasz)? Stary wojak zarumieniał się jak panielka, ręce mu opadły i wszelka odwaga go odeszła. Daremnie Francuz chciał naprawić swoje, trochę rubaszne słowa, wziąć nawet mydełek na próbę, pułkownik tak był zrażony, że, skloniwszy się, wyszedł czempredzej, mówiąc sobie, że go już drugi raz nikt nie złapie na prawieniu wyuczonych bonimentów. Postanowił poprzestać na swoich 45 frankach na miesiąc i żadnych innych zysków nie szukać. Tego postanowienia trzymał się aż do końca życia z niezłomną wolą. Budżet jego rozkładał się w następujący sposób: 10 franków płacił za mieszkanie, uważał to za zbytek, ale usprawiedliwiał się, że w ciasnej, dusznej i ciemnej izdebce niepodobnaby mu było mieszkać, że mu świeże powietrze, światło i widok na świat są niezbędnie potrzebne do życia; stancyjka też jego była porządna, dosyć obszerna, na drugim piętrze, z oknem na wybrzeże Saony. Miał przyzwoite mebelki, a podobnie jak u wszystkich starych żołnierzy w emigracji, nad łóżkiem jego wisały różne pamiątki z dawnych cza-

sów, jego szpada, ryngraf, para pistoletów, portrety Kościuszki, księcia Józefa, Chłopickiego i obrazek Matki Boskiej Częstochowskiej; 15 franków odkładał na ubranie, pranie, opał w zimie i różne drobne, tudzież niespodziewane wydatki, ubierał się bardzo przyzwoicie a nawet trzymał się mody, ale ubranie kupował na tandecie, a bieliznę na wyprzedażach zbytecznej bielizny żołnierskiej w koszarach. Zostawalo mu na życie i na fajeczkę 15 franków. Miał za to śniadanie, zupę z rzepy, którą mu udzielała ze śniadania swojej rodziny pani szewcowa, sąsiadka przez ścianę i przy tem bułeczkę świeżą; na drugie śniadanie kawałek chleba z masłem, na obiad idem, czasem z małym dodatkiem wędlinki; wieczór, kiedy był w domu, jeszcze też samo, niekiedy pił herbatkę, przyrządzoną na spirytusie a fajeczek pozwalał sobie pić na cały dzień, ani jednej więcej. Dodać należy, że czynił jeszcze oszczędności w tym biednym budżecie, ażeby mieć 5 franków zawsze w kieszeni na wsparcie biedniejszych jeszcze emigrantów, którzy się zgłaszali do niego. Dwa razy na tydzień jadał obiad u przyjaciół emigrantów, mających familie i będących w położeniu pomyślnem, którzy, jeden i drugi usilnie go prosili, ażeby się u nich stołował, ale nigdy się na to zgodzić nie chciał i zaledwo otrzymali od niego tę koncesyę, że u każdego raz na tydzień gościł. Skrupulatność posuwał do tego stopnia, że odemnie, który u niego niegdyś przesiadywałem, nie chciał przyjąć nigdy ani śniadania, ani obiadu. Parę tylko razy wciągnąłem go prawie gwałtem na filiżankę kawy lub szklankę piwa do kawiarni. Dopiero gdy w zupełną popadł

niemoc, dał się nakoniec uprosić, żeby się przeniósł do domu jednego z owych najściślejszych przyjaciół swoich, do Urbanowskiego, wzbogaconego wynalazcy, u którego umarł.

Pułkownik Gawroński był to człowiek nader dobrotliwy, cichy, słodkiego charakteru, z młodszymi emigrantami obchodził się po ojcowsku, z biedniejszymi dzielił się czem miał. Wierzył święcie w odrodzenie przyszłe Polski, wierzył nawet w jakiś przyszły wiek złoty i pod tym względem zbliżał się trochę do utopistów. System Cabeta go zachwycił. Czytał i odczytywał jego *Voyage en Icarie* i wymógł na mnie, żem tę dziecinną elukubracyę, nad którą można zasnąć stojący, jak mówią Francuzi, przeczytał od deski do deski.

Bywały jednak chwile czarne w jego życiu, kiedy natura w nim protestowała przeciw istnieniu, jakie prowadził, samotnie, na obcej ziemi, o głodzie i bez żadnej pociechy i wtenczas wspomnienia czasów szczęśliwszych oblegały go i szarpały mu serce, bo, jak mówi wieszcz „Boskiej komedyi”:

. Nessun magior dolore
Che ricordarsi del tempo felice
Nella miseria

W takich chwilach pocziwy pułkownik był cierpki, zgryźliwy, gorzki; trzeba było uciekać od niego, lecz chwile te były bardzo rzadkie. W towarzystwie rodaków czoło jego było zawsze pogodne i nikt domyśleć się nie mógł, ile ten starzec czasami zmęczony był życiem.

Było może niewielu wśród starych wiarusów w emigracyi, którzy zachowali w ciężkiej biedzie podobną słodycz charakteru jak Gawroński, ale nie małoby można naliczyć takich, którzy przynajmniej nieskażoną godność charakteru utrzymać potrafili, żyjąc z mniejszego nawet jeszcze żołdu, z 30 i z 25 franków na miesiąc. Jak żyli? O tem trzeba się było od nich samych wywiadywać lub od tych, co byli świadkami ich życia; inaczej niktby słowa takiej zagadki nie dociekł. Mogę zapewnić, że nie jeden chodził na targowisko i zbierał ukradkiem leżące na ziemi listki kapusty, nadpsute marchewki, rzepki i kartofle, o które przekupki nie dbały i, oczyściwszy je, okroiwszy, dołożywszy do nich chleba, gotował sobie z tego zupę na przenośnym glinianym piecyku (fourneau), a na drugą potrawę kawałek chleba i czasem wędliny. Wiem także o jednym emigrancie, że się żywił głównie rzodkwią czarną, gotowaną i posypaną mialkim cukrem, przekonawszy się, z doświadczenia, że to jest pożywienie dosyć posilne. Ludzie ci byli po większej części uparci w swojej biedzie i trudno ich było namówić, żeby przyjęli lepszy obiad, bo i pycha ich na tem cierpiała i żołądek ich już nie znosił posilniejszej strawy. Mickiewiczowi udało się, w czasach swojej pomyślności, jednego z tych stoików ściągnąć na obiad do siebie, pod jakimś pretekstem, ażeby go raz dobrze pokrzepić. Kilka osób było na tym obiedzie dosyć wytwornym, lecz stoik, o którym mowa, skosztował tylko potraw najprostszych, *lepszych nie tknął*; nalano mu wina, zbliżył go do *ust, poczuł, że dobre Bordeaux i kieliszek odsunął*

z gestem tak stanowczej woli, że nie śmiano bardzo nań nalegać, aby go wychylił. Postać ta wychudła i pyszna w swojej nędzy starannie ukrytej, wzbudziła u wieszacza najwyższy szacunek dla siebie i lubił o niej wspominać.

Do tej kategorii emigrantów przyłączał się pod pewnym względem Lelewel, to jest przyłączał się na pozór, bo w rzeczywistości stanowił on typ oddzielny, *sui generis*. Jadąc do Francyi, zatrzymałem się umyślnie dzień jeden w Brukseli, ażeby go poznać i złożyć mu hold mój, jak to już wspomniałem na właściwem miejscu. Miałem tytuł do podobnej natrętności. Byłem bowiem trochę spowinowaconym ze słynnym badaczem. Jedna siostra jego była za dalekim kuzynem moim, Józefem Noszarzewskim. Znałem przytem bardzo dobrze jego brata Prota, pułkownika inżynieryi polskiej w 1831 roku, który ze swoją dosyć liczną familią mieszkał w sąsiedztwie moich blizkich krewnych i przynosiłem od nich p. Joachimowi interesujące dla niego nowiny, ale przystęp do niego był zupełnie wolnym dla każdego, kto tylko chciał z nim mówić. Nie potrzeba było żadnego pretekstu. Nie lubił nawet, żeby pukano do jego drzwi, chciał, żeby wchodzono bez żadnej ceremonii, uważając wszelkie ceremonie za przeciwne duchowi demokracji.

Od przybycia swojego do Brukseli w r. 1833, aż do wyjazdu w roku 1871, kiedy doktor Gałęzowski i Faust. Januskiewicz gwałtem go prawie wywieźli umierającego do Paryża, do domu zdrowia doktora Dubois, mieszkał Lelewel w jednym i temże samem miejscu, przy ulicy Des Epéroniers № 18.

Miał na pierwszym piętrze nad szynkownią (*Estaminet*), dwa pokoiki i mały alkierzyk, ale w jednym tylko pokoiku pracował, sypiał i zwykle przyjmował przychodzących; drugi, niby trochę lepiej umeblowany, służył na nadzwyczajne okoliczności.

Zastałem go nad stolikiem, obładowanym książkami i papierami i koloryzującego mapy do swojego francuskiego dzieła, wydanego w 1851 r. *Géographie des Arabes*. Lubo nie był jeszcze bardzo starym, miał wtenczas 62 lata, wyglądał jak dzia-
dek kościany, wychudły, wyżółkły, z rzadkimi, siwymi i dosyć długimi włosami, które snąc nie często z grzebieniem się spotykały. Miał na sobie wyszarzany płaszcz granatowy z krótką pelerynką podług mody 1822 r. W lecie chodził nietylko w domu, ale nawet na ulicy, w bluzie rzemieślniczej i chodakach drewnianych.

Zacząłem z nim rozmowę, opowiadając mu owe nowiny od familii, na które liczyłem, że go żywo zajmą, ale słuchał mnie w milczeniu z jakimś idyotycznym uśmiechem, jakgdyby nie bardzo rozumiał, co mu mówię. Smutno mi się zrobiło na sercu; myślałem, że wielki ten pracownik już zdzieciniał. Gdym atoli zwrócił rozmowę do prac, które miał przed sobą, wnet inteligencya zabłysła w jego oczach i całej jego fizyonomii. Uśmiech idyotyczny zmienił się w lekko szyderycy, do jakiego usta jego zdawały się naturalnie przykrojone i od tej chwili rozgadał się szczerze.

Opowiadał mi odkrycie geograficzne, jakie świeżo uczynił i wskazał mi je na mapie. Było to jakieś, znikłe już podobno, miasteczko w Arabii nad-

eufrackiej, wspomniane przez pisarzy starożytnych, o którego położenie spierali się badacze nowożytni. Dawszy mi to objaśnienie rzekł tonem, w którym przebijał jakby wewnętrzny tryumf: „Otóż ja, znając troszkę język arabski, wniosłem z etymologii nazwy owego miasteczka, że zbudowane być musiało w pobliżu jednej z tych dolin solnych tak obfitych w tych stronach i idąc za tą wskazówką oznaczyłem z łatwością jego położenie dokładne tak, że opisy starożytnych pogodzić się dały“. Był z tego uradowany, jakgdyby odkrył Altantyde, albo źródła Nilu. Gotów był niemal wołać na ulicach Eureka! jak Archimedes. Ta radość naiwna wtajemniczyła mnie nieco w życie owych cierpliwych szpescarzy, oderwanych od rzeczywistości obecnej i spędzających dnie od rana do nocy nad spleśniałymi foliałami, nie dbając o żadne przyjemności świata, o zaspokojenie nawet głodu lub pragnienia. Rozwiązanie jednej jakiejś zagadki z zamierzchłej przeszłości jest dla nich rozkoszą, która im wynagradza długie lata mozolnej pracy i abnegacyi; gonią też za nią równie namiętnie jak cheiwczy za złotem, ambitni za władzą, lowelasy za miłosnymi tryumfami.

Żałowałem, żeśmy następnie zeszli do polityki i do wypadków 1831 r., bo uczony nasz ziomek ukazał mi się mniej zrozumiałym. Żyjąc w książkach, a nie znając ludzi, wyrobił on sobie pewne wyobrażenia polityczne i pewne prawidła życia zupełnie abstrakcyjne, zbliżające się z jednej strony do teorii Russa, z drugiej strony do filozoficznego cynizmu Diogenesa. Przykład urzeczywistnionej

teorii Russa widział w słowiańszczyźnie przedchrześcijańskiej i już Chrobremu darować nie mógł, że na tym gruncie, tak doskonale przygotowanym do demokratycznej uprawy, zbudował monarchię szlachecką, na której obronę to jednak powiedzieć można przynajmniej, że osiem wieków trwała i nie bez sławy.

Lelewel, oderwany od swoich foliałów i z takimi wyobrażeniami o władzy, odgrywał w powstaniu 1830 r. dziwną rolę; był członkiem rządu narodowego, a zarazem prezesem nominalnym tak zwanego Towarzystwa patriotycznego i patronem jawnym najskrajniejszych dzienników, które wraz z owym towarzystwem podkopywały Rząd narodowy i w końcu go obaliły, ażeby zostawić wolne pole krwawej anarchii w chwili, gdy nieprzyjaciół już zagrażał stolicy.

Nikt jednak Lelewelowi postępowania jego politycznego nie wyrzucał. Żył na wygnaniu, otoczony cziłą swoich i obcych. Ci nawet, którzy najwięcej żalić się na niego mogli, widzieli w nim już tylko uczonego badacza, którego ogromne i użyteczne prace przeważały szalę jego win politycznych. Ale Lelewel nie miał ze swojej strony podobnej wyrozumiałości dla nich. Przeciwnie, czas rozszerzył był przepaść, jaka go od nich dzieliła. Wbił on sobie w głowę, że to byli zdrajcy przekupieni, nie zdając sobie sprawy z moralnego i materialnego niepodobieństwa, o które się podobne oszczerstwa rozbijały, rozповідаł mi ze szczegółami jak i kiedy, za jaką cenę nawet byli przekupieni i jakie *miał* kiedyś na to w rękę swoim dowody. Mówił

spokojnie, z owym uśmiechem szyderyczym, który z ust jego nie schodził, jak gdyby był najpewniejszym tego, co mi rozpowiadał. Przeraził mnie ten ton. Nie przypuszczałem nigdy, ażeby człowiek, poświęcony pracy naukowej, wyszedłszy z teoretycznych zasad mógł dojść do tak ślepej, tak zapamiętałej nienawiści ku pewnym rodakom, dlatego jedynie, że postępują podług innych przekonań. Można by, przekręcając lekko znany wiersz francuskiego poety—wykrzyknąć: — „Boże! — wieleż to może być żółci w duszy uczonego”.

Co do sposobu życia Lelewela, który przypominał Diogenesa, jak to nadmienilem, ten nie czyni mu zapewne ujmy, ale trudno też w nim widzieć wielką zasługę z jego strony. Lelewel żył w nędzy, bo tak mu się podobało. Gdyby był chciał, miałby być bardzo przyzwoicie utrzymany ze swoich prac, bo pracował ogromnie, a na każde dzieło, zaledwie skończone, znajdował wnet wydawców. Oto spis chronologiczny tych, które dokonał w Brukseli, tak w polskim jak we francuskim języku:

1835. Polska odradzająca się: *Numismatique du moyen âge.*

1836. *Pytheas de Marseille et la géographie de son temps.*

1837. Dzieje Polski potocznie opowiadane.

1839. Dzieje Litwy i Mało-Rusi, aż do Unii z Polską.

1840. *Etudes Numismatiques et Archéologiques.*

W 1841 roku miasto Bruksela, zbywając swój zbiór numizmatyczny rządowi, wezwało Lelewela,

ażeby go skatalogował i ocenił. Nasz uczony zajął się tą pracą gorliwie i rok cały nad nią strawił.

1844. Wydał w tłumaczeniu francuskim: Polska odradzająca się, z dodatkiem obszernej rozprawy, pod tytułem: *Considération sur l'état politique de l'ancienne Pologne et sur l'histoire de son peuple*, 2 tomy. Od tego roku zaczyna Żupański wydawnictwo jego dawniejszych rozpraw, rozbiorów, tudzież dzieł nowych, jak: „Polska średnich wieków” i inne.

Jednocześnie z temi dziełami większych rozmiarów pisał artykuły i rozprawy to po polsku, to po francusku do różnych przeglądów uczonych i encyklopedyi. Na żądanie ś. p. Bobrowicza napisał trzy wielkie rozprawy do nowego wydania Niesieckiego.

W r. 1848 zastałem go nad dwiema pracami w języku francuskim: *Géographie des Arabes*, która już była ukończona i mapy tylko do niej koloryzował; wyszła w r. 1851 w dwóch tomach i *Géographie du Moyen âge*, którą powolnie od kilkunastu lat już układał, lecz dopiero w 1857 wydaną została w 4 tomach.

Jakimże sposobem przy takich pracach, wychodzących na świat jedna po drugiej, i z których każda rzuciła żywe światło na jakąś ciemną stronę ubiegłych wieków, jakimże sposobem zarabiał tyle tylko, żeby z głodu nie umrzeć? Na to odpowiem jednym przykładem cen, jakie sam naznaczał za swoje prace. Gdy skatalogował, opisał i ocenił zbiór numizmatyczny miasta Brukseli, prosił go magistrat, ażebym sam oznaczył cyfrę honoraryów jakie mu się należą. Otóż Lelewel policzył sobie 1 franka

za dzień; więcej pomimo nalegań magistratu przyjąć nie chciał, i za cały rok pracy wziął wszystkiego około 300 franków, bo święta nie wchodziły oczywiście w jego rachunek.

W podobnymże stosunku kazał sobie płacić wydawcom za swoje dzieła, z czego wynikło, że oni zarabiali po kilka lub może kilkanaście tysięcy franków na każdym wydaniu, a on żył jak nędzarz, obywatel się bez ognia w zimie i żywił się głównie mlekiem, serem i chlebem, których zapasik na cały dzień kładł na półce swojej biblioteki, między książkami, czasem dodawał do tego jakąś mięsną potrawę, lub kawałek ryby, zawsze na zimno. Raz na tydzień pozwalał sobie filiżankę kawy, którą brał z szynkowni na dole, a w lecie, gdy był spragniony, szedł na miasto w bluzie po butelkę piwa „taro”.

Rano obsługiwała go stara wiwandierka polska, jeszcze z czasów wojen napoleońskich. Chłubiła się ona, że księżę Józef w bitwie pod Lipskiem wypił z jej flaszki ostatni kieliszek wódki, poczem rzucił się w Elstrę. W 1831 r., wróciła do swojego dawnego rzemiosła i wyszła z wojskiem za granicę. Ta wysłużona wiwandierka była największym zbytkiem Lelewela. Pomimo całej filozofii swojej nie potrafił się wdrożyć do zamiatania samemu swojej izby i słania swego łóżka. Zresztą żył biedniej, jak to widzieliśmy, niż najbiedniejszy wyrobnik brukselski, a że to była bieda dobrowolna, łatwo pojąć, iż żadnej pomocy od bogatszych współziomków nie przyjmował, że ją nawet z dumą odpychał. *Znana jest dość powszechnie anegdota o tym piecyku ze-*

laznym, który jedna z dam naszych kazala w czasie nieobecności jego postawić w biednej, nieogrzanej izbie, gdzie pracował i sypiał, a on, wróciwszy do domu, natychmiast go za drzwi wyrzucił. Wiadomo także, że dopiero na wymagania usilne gospodarza domu w znowie z tą damą, zezwolił, ażeby przeprowadzono rurę z sąsiedniego pieca przez jego izdebkę. Ta jedna rura ogrzewała go w zimie, ale ogrzewała nieźle, bo, będąc u niego w grudniu, nie czułem wcale zimna. Również trudno było uprosić go, żeby przyjął śniadanie lub obiadek. Czynił to tylko dla dawnych przyjaciół, których już nie podejrywał, że go zapraszają li tylko z litości, z którymi pragnął się nagadać. Łatwiej go było skusić ponętą kawy, którą bardzo lubił, jak większa część ludzi pracujących umysłowo, lecz przyjąć pomoc rzeczywistą od drugich, choćby od szczerych przyjaciół, było dla niego rzeczą najwstrętniejszą, nawet gdy już był umierającym. W rzeczy samej, w 1861 roku wielki badacz już wówczas 75-cio letni starzec, zapadł na chorobę, która go w krótkim czasie porwać miała. Na wiadomość o tem i wiedząc przytem, że jest pozbawiony wszelkiej pomocy lekarskiej, doktor S. Gałęzowski, uczeń jego z uniwersytetu wileńskiego i Eustachy Januszkiewicz pośpieszyli do Brukseli z postanowieniem, ażeby go koniecznie wywieźć do Paryża, do domu zdrowia doktora Dubois, ale musieli uciec się do fortelu subtelnie obmyślonego, aby go do tego nakłonić. Powiedzieli mu, że wydawcy, zrobiwszy grube pieniądze na jego *dzielach*, powodowani uczuciami sprawiedliwości, *wdzięczności*, czei dla niego, nie mniej jak własnym

swoim interesem, który każe im troszczyć się o życie i zdrowie tak użytecznego im pracownika, przysłali komitetowi polskiemu pewną sumę na jego kurację. Na takie zapewnienia, kilkakrotnie powtórzone, dał się nakoniec Lelewel wywieźć do Paryża, lecz, przyjechawszy do domu doktora Dubois, gdy zobaczył pokój przeznaczony dla niego, przyrządzony z pewnym komfortem, to jest z wszelkimi wygodami, połączonemi z elegancją, zaczął się na nowo zżymać, nie chciał w tym pokoju zostać, wołał, że mu chcą czynić jakieś łaski, których on nie potrzebuje i nie przyjmuje; trzeba było znowu Gałęzowskiemu i Januskiewiczowi twierdzić uparcie, że cały ten komfort jest opłacony zarobionemi przez niego pieniędzmi, które wystarczą mu przynajmniej na dziesięć lat wygodnego życia. Uwierzył temu w końcu i został w owym pięknym pokoju, lecz nie przestał sarkać na niepotrzebny zbytek, jaki mu narzucają. Niedługo niestety używał go, bo w trzy dni po przyjeździe do Paryża, umarł na wygodnem łóżku doktora Dubois.

Ogromna popularność, jaką sobie pozyskał, przy końcu życia jego dopiero okazała się w pełnem świetle. Człowiek ten, który żył tak biednie, skończył, rzec można tryumfalnie. W Brukseli cała prawie ludność rzemieślnicza odprowadziła go z domu do dworca kolei żelaznej, uważając go za patriarchę demokracji. W dworcu hołd mu składały deputacye młodzieży uniwersyteckiej z Bruxelli, Gandawy, Lowanium, Leodium. Rodacy obecni w Brukselli byli tam wszyscy zgromadzeni i żegnali go z czcią i głębokiem rozrzewnieniem, a w Paryżu, ha

miejsce wiecznego spoczynku odprowadzili go najznakomitsi uczeni Francyi, oraz wszyscy emigranci, przebywający w tej stolicy.

Nie do mnie należy oceniać w Lelewelu nie-spracowanego badacza przeszłości na tak rozmaitych polach, ale wolno mi streścić w kilku słowach szczerych wrażenie, jakie na mnie sprawił. Lelewel był zagadką, której słowem bodaj czy nie była wielka duma ukryta pod pozorami dobroduszości, demokracji i abnegacji najwyższej.

Ale duma a próżność to nie jedno. Duma jest czasem ogromną siłą — podporą wielkich charakterów, kiedy, jak u Lelewela, łączy się z najczystszy-m patryotyzmem, najszlachetniejszą bezinteresownością, byстрыm rozumem, ogromną wiedzą i niezmordowaną pracowitością. Wtenczas duma w charakterze wszystkie te przymioty spaja, potęguje i wytwarza człowieka, dla którego nie ma nic trudnego na drodze przez siebie obranej. Lelewel zyskał sobie sławę europejską przez odkrycia, jakie poczynił na różnych polach badań historycznych i wdzięczną cześć swojego narodu za światło, jakie rzucił tak obficie na nasze dzieje ojczyste, a Bóg jeden wie, ile go to mozolnej pracy kosztowało. — Wspomnienie tego uczonego, żyjącego na wygnaniu biedniej, niż nie jeden żebrak, wprawdzie nie rozczuła mnie bynajmniej, bo wiem, że tę biedę cierpiał dobro-wolnie, aby pokazać wierność swoją zasadom demokratycznym, posuniętym w życiu prywatnem aż do Diogenesowskiego cynizmu, ale jakże nie podzi-wiać potężnej woli i żelaznej wytrwałości tego starca, który przez trzydzieści ostatnich lat życia swo-

jego, gdy go już siły fizyczne opuszczały, od tej roli na chwilę nie odstąpił i jakże nie żałować, że mąż taki nie pojawił w roku 1831, na stanowisku ważnym, do którego go opinia publiczna wyniosła, iż dla polskiego narodu wszelkie zadania polityki wewnętrznej i urzędzeń społecznych były w owej chwili na dalekim planie wobec tej jednej, straszliwej—trzymającej nas wszystkich za gardło, Hamletowskiej kwestyi—„Być albo nie być”.

XIV.

Jeżeli w emigracyi znaleźli się ludzie, którzy potrafili zgodzić się z najcięższą biedą i znosić ją stoicznie przez długie lata wygnania—zrzekłszy się wszelkiej nadziei polepszenia swojego losu jak chyba po odzyskaniu ojczyzny—to nie mało było i takich, którzy, przeciwnie, gonili za widziałem fortuny po zwodniczych drogach wynalazków i projektów różnego rodzaju. Było ich, mówię nie mało, bo nawet spytać można, kto w emigracyi, prócz owych wiarusów zupełnie na biedę zrezygnowanych, nie próbował choć raz coś wynaleźć—coś wykombinować, coby mu zabezpieczyło na wygnaniu byt spokojny, nie zawisły i użyteczny współziomkom. Dembiński był wynalazcą, Mickiewicz był wynalazcą, jak przynajmniej twierdzi Niewiarowicz, który opowiada, że mu wygotował rysunki dla przedstawienia na papierze jakiegoś wynalazku, wyszłego z jego poetycznej głowy. Wynalazcami byli emigranci *nakowo wykształceni*, którzy łamali sobie głowy nad *zadaniem mechaniki* lub chemii w zastosowaniu do

przemysłu, byli i prostaczkowie, którzy trzymali się poziomu i kombinowali tylko jakieś ulepszenia wręczach drobnych, służących do powszechnego użytku; a wszyscy wychodzili z tej zasady, że w kraju tak ucywilizowanym, tak przedsiębiorczym, tak bogatym jak Francya, dosyć jest rzucić między spekulantów myśl nową—wielką czy małą—byle użyteczną, zabezpieczywszy ją sobie—ma się rozumieć—brevetem, ażeby ci ją natychmiast pochwycili i wprowadzili w życie, a niedługo czekając zacznie przynosić autorowi i przedsiębiorcom złote owoce. Był to jeden z mirażów, które się przedstawiały naszym wychodźcom w ich smutnej pielgrzymce. Spekulantci bowiem ani we Francyi, ani w żadnym innym kraju nie są pochopni do chwytania wynalazków, z których jeden ledwo na tysiąc pokazuje się rzeczywiście praktycznym, jak tego dowodzi sama statystyka patentów, ale któryż wynalazca przypuszcza, że jego pomysł może być nie praktycznym póki go bolesne doświadczenie nie nauczy mniej ufać tak zdradnej kusicielce jaką jest miłość własna, przeważnie wpływająca na pracowników tego rodzaju.

Najrzutniejszym z takowych w emigracyi był jak sądzę jeden z kolegów moich w korpusie kadetów, którego na ławkach szkolnych nazywaliśmy Waćko. Był to wtenczas gładki i miły chłopczyk wychowany w dostatkach i który pod mundurkiem kadeta przechowywał układ panicza z wrodzonym pociąganiem do światowego życia. W emigracyi, gdy go pierwszy raz widział trudno mi było poznać dawnego Waćka. Z młodzieniaszka uśmiechającego

się do świata zrobił się człowiek rozgorączkowany, roznamiętniony, prawiący tylko o swoich wynalazkach i projektach, a samo ubranie jego świadczyło, że żadnego z nich jeszcze plonu nie zebrał. Biedny Waćko! Poniósł on na wygnanie swoje nawyknięcia i zachcianki paniczowskie. Nie chciał się wprzód do żadnej obowiązkowej pracy, nie czując w sobie dosyć cierpliwości i dosyć rezygnacji, ażeby zaprzedać cały swój czas i postępować powoli, mierzliwie i smutnie od 100 fr. na miesiąc do 120 i do 150, a w najdalszej perspektywie do 200. Liczył na swój geniusz, więcej może jeszcze na swoją gwiazdę i obiecywał sobie, że jednym szczęśliwym pomysłem zdobędzie fortunę i sławę. W tej nadziei przestawał na subsydyjach i skromnych bardzo zasiłkach od rodziny; cierpiał biedę, ale głowa jego stała się istnem laboratorium projektów, wynalazków, wymysłów wszelkiego rodzaju. Nie było kwestyi ekonomicznej, finansowej, przemysłowej, wprowadzonej na porządek dzienny, w izbach prawodawczych lub w polemice dziennikarskiej, w którejby on nie wystąpił z rozwiązaniem, rozwinięciem w broszurze lub memoryale rękopiśmiennym. Posyłał te elukubracje ludziom kompetentnym i najeczęściej odbierał od nich odpowiedzi, któremi pugilares jego był napelniony. Pokazał mi je za pierwszym zaraz widzeniem się naszym. Były to listy nader grzeczne, podchlebne nawet, tylko po komplementach następowało zawsze jakieś złowrogie ale, które całą wartość jego pomysłu podawało w wątpliwość. Po wielu latach takiej *walki kruchym orężem*, który się zawsze w jego *ręku łamał*, Waćko uczynił wielkie wysilenie i nie

wątpił, że marzoną fortunę ma już ręką. Chodziło o oczyszczenie portu Marsylii, który zmienić się był w brudną kałużę, ziejącą niezdrowemi miazmami. Podniesiono tę ważną kwestyę w izbie deputowanych, rząd się nią zajął, dzienniki ją roztrząsały i podawano najrozmaitsze projekta, aby zlemu zaradzić. Waćko wstąpił w szranki z planem kolosalnym — proponował wykopanie sieci kanałów i zdobycie na morzu różnych zasp podwodnych, a na tych zaspach zmienionych w wyspy budować doksy. Tym sposobem zmieniał nadbrzeżną część Marsylii w drugą Wenecyę. Zarazem osuszał Camargę, bagnistą deltę Rodanu i pozyskiwał na uprawę rozległą przestrzeń ziemi namulonej. Było to wspaniałe na rysunku, tylko koszta takowego przedsięwzięcia podług własnych wyrachowań Waćka przerosłyby 1,500 milionów i to było znowu ogromne ale, które cały jego projekt przerzuciło w dziedzinę tysiąca jednej nocy. Waćko był nim jednak tak upojony, że ani słuchać chciał żadnej uwagi pod tym względem i nigdy mi nie przebaczył, że się powążyłem, gdy ten projekt rozwijał przedemną, lekko powątpiewać, ażeby go rząd zatwierdził. Od tej chwili noga jego już więcej u mnie nie pozostała. W kilka miesięcy później powiedziano mi, że sprawa jego wzięła pomyślny obrót, że kilku kapitalistów Marsyjskich, olśnionych perspektywą wspaniałą, jaką otwierał dla ich ukochanego miasta, dostarczyło mu funduszków na uzupełnienie potrzebnych studyów i że szuka inżynierów — budowniczych — rysowników — przepisowaczy — do bióra, które zakłada. Niebawem spotkałem Waćka samego pod arkadami ulicy Ri-

voli, ubanego podług najświeższej mody z teką pełną papierów pod pachą i miną tryumfującą. Powitał mnie zimno—oznajmił mi w kilku słowach, że wykonanie jego projektu jest zapewnione—poczem skinął na przejeżdżającego fiakra — skłonił mi się protekcyjonalnie i, siadając do powozu zawołał dosyć głośno, ażebym go pod arkadami mógł usłyszeć: „Do ministerstwa robót publicznych!”

Złoty ten sen trwał kilka tygodni i skończył się, jak wszystkie inne — żalosem przebudzeniem. Ministerium robót publicznych odrzuciło projekt Waćka, a zatwierdziło inny wypracowany jednocześnie przez inżynierów rządowych, który polegał na tem, ażeby poprostu wyszlamować stary port na użytek statków przybijających do Marsylii z podróznymi i wybudować nowy w wielkich rozmiarach tak, aby mógł pomieścić wszystkie okręty handlowe, krążące na Śródziemnem morzu. Skutek okazał, że rząd francuski miał słuszość. Zatwierdzony przez niego projekt, od wielu lat już wykonany, zostawił wprawdzie Camargę jak była i nie zmienił Marsylii, w drugą Wenecyę, ale podniósł ogromnie jej pomysłność i zrobił z niej, nie tylko największe, ale i najwspanialsze targowisko na Śródziemnem morzu, za cenę o wiele razy mniejszą od kosztorysu Waćki. Czy ta ciężka przegrana wyleczyła go z manii projektów i wynalazków? podobno, że nie zupełnie. Zapewniano mi, że zostawił sobie w odwodzie jedno wielkie zadanie, nad którym ciągle przemyślał i o możebności rozwiązania którego, ze wszystkiemi się spierał, a było to nic innego, jak *perpetuum mobile*. Miał już jeden czynnik do takiego

mechanizmu, to jest siłę ciężkości np. ładunek na wozie—chodziło tylko o drugą siłę, któraby z ciężkością walczyła i wprowadzała koła w taniec, jak owa siła dotąd nieznaną pchająca planety w przestrzeń, która, walcząc z atrakcją słoneczną urzeczywistnia *perpetuum mobile*, w systemacie świata. Wykradł-że Waćko tę drugą siłę naturze? wątpić o tem można.

Waćko przedstawiał typ wynalazcy tragicznego ustroju. Każdy pomysł wykwitły w jego głowie fanatyzował go — żadnego nie poddawał pod zimną i wszechstronną rozwagę — w każdy z nich z kolei wierzył jak w wyższe natchnienie—na nim budował całą przyszłość swoją — a kto wiary jego nie podzielał, tego uważał za człowieka zawistnego i swojego osobistego nieprzyjaciela. Każde też rozczarowanie musiało być dla niego straszliwym ciosem. Ale były w emigracyi i typy odmienne wynalazców. Nie brakło zwłaszcza wynalazców komicznych. W pierwszym rzędzie takowych odznaczał się, w rodzaju wysokiej komiki Fredrowskiej, St. Ch. nieodrodny szlachcic Polski, szczery, serdeczny, gadatliwy, zawsze kontent z siebie i drugich, przekonany o wyższości naturalnej Polaków nad Francuzami we wszystkim — i to głównie wykierowało go na wynalazcę.

Należał on do rodziny protegowanej przez muzy—wydała bowiem w naszych czasach całą plejadkę ludzi pełnych talentu, poetów, powieściopisarzy, historyków; lecz St. Ch. nie puścił się za ich przykładem na literackie drogi. Wolał szukać szczęścia w przemyśle i wszedł do fabryki malowanych per-

kalów. Zaraz na wstępie uderzyła rzutny jego umysł jedna wielka niedogodność w tej fabrykacji; to jest, że do odbijania różnokolorowych deseni trzeba używać tylu kamieni, ile jest farb w deseni, gdyż na jednym nie można zapobiedz, ażeby się różne farby jedna z drugą nie mieszały. St. Ch. poszedł po rozum do głowy i powiedział sobie; otóż ja Francuzom pokażę, że można tyle farb kłaść na kamieniu, ile się spodoba i nie będą się mieszały. Powywiercał w kamieniu różne kanaliki do prowadzenia rozmaitych farb płynnych, przeznaczonych do odwilżania i podsycania farb gęstych, a przeto nie mieszających się jedna z drugą, które kładł na deseniach do odbijania; kanaliki zaś zamykał lub otwierał kurkami stosownie do potrzeby—i zadanie było rozwiązane—tak przynajmniej twierdził z najgłębszem przekonaniem. Wprawdzie lata mijały, a żadna fabryka nie kwapiła się zastosować u siebie tego wynalazku i żaden paktol nie dążył ku kasie wynalazcy, ale nadzieja go nie opuszczała, ani dobry humor— a czekając na zarobiony wrzekomo milionik, zrobił nawiasowo nowy wynalazek z okoliczności następującej. Minister spraw wewnętrznych zalecił był okólnikiem wszystkim prefektom, ażeby zwrócili uwagę fabrykantów na coraz naglejszą potrzebę, ze względu na zdrowie publiczne, zaprowadzenia w fabrykach pieców, któreby pochłaniały w sobie dym ogniska i nie przepuszczały go na zewnątrz, czyli fumiworów. Fabrykanci odpowiadali na to, że jaknajchętniej użyją takich *fumiworów* byleby były *wynalezione*. Snać pan minister sądził, że to nie *bardzo trudne* zadanie i St. Ch. był jego zdania.

Dla niego nie było nic trudnego na świecie—chyba napisać dobrą tragedię, co podług Woltera jest jedną trudną rzeczą na tym padole. Nie namyślając się też długo, odkrył sekret jak można mieć ogień w piecu bez dymu. „Wyobraź sobie—mówił mi—iż te głupie Francuzy nie postrzegły się na rzeczy tak prostej, że aby dym był strawiony w piecu i nie wychodził na zewnątrz, dosyć jest zapalać węgle lub drzewo nie ze spodu ale zwierzehu, bo wtenczas atmosfera nad ogniskiem rozgrzewa się do tego stopnia, iż pożera dym, jak atmosfera Sahary pochłania chmury i mgły, które wiatr ku niej pędzi”. Może jest w tem trochę prawdy, nie będę się o to spierał, ale nie mniej prawdziwą jest rzeczą, niestety, że *fumivory* wymyślone przez St. Ch. zdradziły go niegodnie. Zamiast pożerać dym poszły z dymem. Szczęściem, że nie budował jak Waćko całej przyszłości swojej na wynalazkach—doszedł był powolną pracą i inteligencją do dosyć zyskowej posady w fabryce, która go przyjęła od początku emigracyi i mógł wygodnie żyć z żoną i dziećmi lubo marzone krocie mu niedopisywały.

B... był innego jeszcze rodzaju wynalazcą—rozważnym i wyrachowanym aż do pedantyzmu. Nie zabląkał się on nigdy, goniąc za ideą, której by schwyteć i ovladnąć nie potrafił. Wynalazki jego były zawsze oparte na ścisłych rachubach i odpowiadały jakiejś potrzebie niewątpliwej, a jednak żaden się nie upowszechnił i B... zawsze poprzestawać musiał na tem, co Francuzy nazywają *un succès d'estime*, czyli na podehlebnem uznaniu ludzi kompetentnych. Wymyślił on machinę rachunkową, wiel-

ce pożyteczną dla kasyerów, bo z jej pomocą mogli szybko, a co ważniejsza bez zmyłki, skutecznie wszystkie prawie rachunki, potrzebne do ksiąg handlowych. Będąc sam kasyerem w jednym znakomitym domu bankowym, dowodził podług własnego doświadczenia, że zmyłki prawie nieuknione w szybkim rachowaniu prowadzą w końcu roku do znacznej straty w wielkich kasach; ale B... zapomniał obliczyć się z miłością własną wielkich firm bankowych i handlowych które się do żadnych zmyłek przyznać nie chciały, a każdy z panów kasyerów, słysząc o jego wynalazku, wstrząsał ramionami i powiadał, że najlepszą machiną rachunkową jest jego własna głowa. Tym sposobem machina B... zeszła na przedmiot ciekawości bez praktycznego użytku i chyba w jakim muzeum przemysłowem znajdzie przytułek, dopóki się panowie rachmistrze zbytnej zarozumiałości nie pozbędą.

Innym jego wynalazkiem, dosyć głośnym w swoim czasie, była machina sygnałowa dla uchronienia pociągów na kolejach żelaznych od starcia się jednego z drugim, o ile powodem do takowych starć bywa niedbałość dozorców przy tarczach sygnałowych, co najczęściej się zdarza. Kilka nawet wypadków podobnych, zaszłych w krótkim przeciągu czasu na różnych kolejach francuskich, z przyczyny pomienionej, to jest ztąd, że dozorca nie odwrócił tarczy w potrzebnej chwili, było pobudką do wynalazku naszego ziomka. Publiczność bowiem była mocno zaniepokojona. Wszędzie mówiono o niebezpieczeństwie, na jakie są narażone pociągi przez niedbalstwo służby na drogach żelaznych.—Wszystkie dzien-

niki o tem prawily i kwestya zapobieżenia temu niebezpieczeństwu przedstawiała się jako niezmiernie ważna i nagła. B... zajął się nią, sformułował ją sobie jako problemat mechaniczny i jeżeli na mechanikę bezwzględnie spuścić się można, rozwiązał ją zupełnie. W jego systemie przechodzący pociąg sam odwracał tarczę sygnałową za pomocą sprężynki, położonej na szynach; koło lokomotywy przyciskało ją, a ona przez pewną kombinacyę dobrze obrachowanych środków, spowodowała obrót tarczy. Rada dróg i mostów, (*le conseil des ponts et chaussées*), kazala ten wynalazek wypróbować i pochwalila go. Podobał się on i dziennikom, które mu dały wielki rozgłos. Niektóre pisma ilustrowane zamieścily jego rysunek. B... stal się na chwile sławnym, ale tymczasem zaprowadzono na drogach żelaznych lepszy dozór nad tarczami; smutne wypadki, które tak zaniepokoiły były publiczność już się nie powtarzały; kompanie poprzestały na takowym rezultacie i wynalazku B... nie przyjęły, fundując się na tem, że gdzie chodzi o bezpieczeństwo i życie tysięcy podróżnych, tam oka i ręki ludzkiej najlepsza machina zastąpić zupełnie nie jest wstanie, potrzebując sama, żeby nad nią czuwano. Przykład to nowy, że i najściślejsze wyrachowania nie są jeszcze dostateczną rękojmią powodzenia dla opartego na nich wynalazku — jeżeli przy tem nie obiecuje milionów przedsiębiorcom, a zostawia ludziom fachowym, zwykle hołdującym rutynie, jakis kolwiek pretext mogący posłużyć im za broń, ażeby takowej nowości nie dopuścić do życia.

Mówiąc o wynalazcach, nie mogą pominąć ge-

nerała Dembińskiego. — *A tout seigneur tout honneur* — lecz przy tej sposobności niech mi wolno będzie wspomnieć i o dawniejszych kolejach wójaka-wynalazcy.

Dembiński stworzonym był do zawodu wojskowego; miał po temu wszystkie potrzebne dary, męstwo, zimną krew wśród największych niebezpieczeństw, umysł płodny w szybkie kombinacye, a nawet błyski geniuszu. Mając lat zaledwie 20, w kampanii 1812 r. w jednej potyczce okazał tyle odwagi i przytomności umysłu pod oczami Napoleona samego, że go tenże na polu boju posunął z porucznika na kapitana i ozdobił krzyżem legii honorowej. Powinno to było zachęcić go do wytrwania na tej drodze, na której mógł ojczyźnie najznakomitsze oddać usługi, ale po upadku Napoleona wrócił do roli i wybrany posłem na sejm przeszedł na pole walk oratorskich, do których najmniejszego nie miał usposobienia. Nawyknięcia jego wojskowe do karności popchnęły go ku małej partii konserwatystów, którzy podtrzymywali władzę i instytucye Królestwa kongresowego przeciw ogólnym popędom narodowym. Zapewne, zapatrując się na tę przeszłość z dzisiejszego stanowiska, przyznać trzeba, że owi konserwatyści z przed 1830 roku widzieli zdrowo rzeczy i mieli słusność, ale cóż mogła usilność kilku ludzi bez wielkiego wpływu przeciw prądowi, który cały naród coraz silniej pędził ku powstaniu. Porwał on w końcu i Dembińskiego. W 1831 r. wrócił do wojska w stopniu, w jakim *przed 15 laty* przerwał był swoją służbę; koledzy *jego, jak Skrzynecki, Rybiński i inni* byli pułkowni-

kami znanymi w wojsku — wnet postąpili na generałów i mieli już znaczne dowództwa w pierwszych bitwach—on zaś dopiero przy końcu wojny znalazł sposobność okazania swoich świetnych talentów wojskowych. Odwrót jego z Litwy na czele 4000 walecznych można śmiało porównać do słynnych odwrótów generała Moreau i arcyksięcia Karola. Przeszedł 150 mil, wywijając się między licznymi korpusami rosyjskimi, które usiłowały okrążyć go i zabrać w niewolę, tak, że—powiada pruski pułkownik Schmidt — świadek całej kampanii 1831 r. przy sztabie głównym rosyjskim, w swoim dziele o tejże kampanii—gdyby Dembiński był jeden tylko fałszywy marsz uczynił lub jedną godzinę czasu beczynninie stracił, byłby niezawodnie z całym korpusikiem swoim wpadł w ciągle zastawiane nań si-
dła. Dembiński przybył do Warszawy, gdy sprawa narodowa była już w wielkiem niebezpieczeństwie, w które ją niepojęta opieszałość i chwiejność Skrzyneckiego wprowadziły. Niedawny ten tryumfator stał się był wodzem niepodobnym. Rząd widział się zmuszonym odebrać mu dowództwo, a nie wiedział w czyje ręce je powierzyć, gdy Dembiński, okryty świeżą sławą, zjawił się jak zbawca i wnet też wodzem naczelnym przez Rząd zgodnie z sejmem mianowany został. Miałże on dosyć śmiałości, zręczności, biegłości w fortelach strategicznych, ażeby armię rosyjską, zuchwale zaawanturowaną, na lewy brzeg Wisły wpędzić w matnię i kraj ocalić? Być może; wiele nawet było za tem prawdopodobieństwa. Na nieszczęście wszystkie zalety Dembińskiego psuła w całym ciągu jego życia jedna wa-

da: brak zupełny taktu w postępowaniu ¹⁾. W dwóch dniach popełnił on dwa błędy, które mu buławę z rąk wytrąciły.

Pierwszym błędem było, że dozwolił, aby Skrzynecki zaprezentował go armii w obozie pod Bolimowem. Pamiętam dobrze tę scenę rozrzewniająca. Całe wojsko uszykowane było nad małą rzeczka w ogromne czworoboki z bokami obróconemi frontem ku środkowi. Ten, w którym się znajdowałem, był pierwszym od dworu, zajętego przez sztab główny, i do niego zajechali naprzód obaj wodzowie, jeden i drugi w pełnych mundurach, na dzielnych koniach i mając za sobą świetny orszak sztabowców i adjutantów; wszyscy wjechali przy odgłosie bębnow w środek czworoboku. Skrzynecki pierwszy raz przywdział był szlify ze znakami hetmaństwa, to jest z dwoma skrzyżowanemi buławami i pierwszy raz także zawiesił na szyi krzyż komandorski *Virtuti militari*, otrzymany za zwycięstwa pod Wawrem i Dębem Wielkim. Miał on wszystko, co serca ujmuje: postać rycerską, nader sympatyczną i zarazem imponującą, organ miły, wymowę ze źrójów duszy płynącą, a urok, jakim go otaczały świetne zwycięstwa kwietniowe, które cały naród olśniły, przetrwał był w oczach wojska późniejsze ciężkie jego winy. Była to gloriola pobladła wprawdzie, ale w chwili, gdy miał składać dowództwo innemu, świeciła nad jego głową całym odblaskiem tych wspomnień tak, że go powszechnie

¹⁾ Zarzucał mu to Górgoi i w tem jednym miał słuszość.

żałowano w obozie. Znajdowano różne pozory, aby wytłumaczyć zarzucane mu winy, mianowicie ostatnią, że przepuścił armię rosyjską na lewy brzeg Wisły. Mówiono, że to bez wątpienia wchodziło w jego plan; że chciał, ażeby ta armia, odciawszy się sama od swojej podstawy operacyjnej, dała mu przez to sposobność zniweczenia jej do szczytu i uważano się, że Rząd i sejm nie pozwalają mu tego planu do skutku doprowadzić.

Ze swojej strony Skrzynecki wysadził się, ażeby ostatnie wystąpienie jego przed frontem armii wywarło na nią głębokie, niezatarte wrażenie. Już w drobnych szczegółach: w ubiorze jego generalskim, zupełnie świeżym, w tych insygniach hetmańskich, które pierwszy raz błyszczą na jego szlifach, a w postawie pełnej godności i rezygnacji — trochę wyuczony — jaką przybrał na swoim dziarskim koniu, była pewna kokieterya, która osiągnęła swój cel, bo wszystkich ujęła; a nigdy wymowa jego nie podniosła się do takiej wysokości i do takich efektów dramatycznych, jak w tej uroczystej chwili. Przemowa, jaką miał w naszym czworoboku tchnęła najczystszym patryotyzmem, najszlachetniejszą abnegacją i niezachwianą nadzieją w Opatrzność, że Ta Polski nie opuści — mówił — że posłuszny władzy krajowej, składa dowództwo, ale szpady swojej nie złamie, póki się święta walka toczy, że służyć będzie w jakiegokolwiek randze, choćby w szeregach jako prosty żołnierz, a w głosie jego czuć było łzy i łkanie tłumione; jednym słowem, żegnał się z armią jakby z kochanką, z którą zmuszony rozstać się, chciał, ażeby w gło-

bi serca zachowała czułe i rzewne o nim wspomnienie. Nie myślał on zapewne szkodzić tem wszystkim swojemu następcy, oddawał mu nawet zasłużone pochwały, tylko pochwały te obracały się na własną jego korzyść jako nowy dowód jego abnegacyi, i gdy skończył, zabrzmiał jednogłośny okrzyk we wszystkich batalionach: „Niech żyje Skrzynecki“, a wiele głosów dodawało: „nasz wódz naczelny; innego nie chcemy!“ Nikt, powiedzieć można, nie widział natenczas w Skrzyneckim owego miękiego, ciągle wabającego się wodza, który najprzejazniejsze sposobności wyparcia wojsk rosyjskich z naszej ziemi z rąk wypuścił, i na wygnaniu w chwilach szczerości sam powiadał: „Miałem Polskę na dłoni i nie umiałem jej schwycić!“ Wszyscy widzieli w nim tylko bohatera z pod Dobrego, Olszynki grochowskiej, Wawrą i Dębego.

Demiński czekać musiał dopóki się ten entuzjazm nie uspokoił, ażeby przemówić z kolei. Nie miał on żadnego z ujmujących lubo powierzchownych darów Skrzyneckiego, przeciwnie, fizyonomia jego, nieznana w wojsku, nie uprzedzała bynajmniej na jego korzyść; była — mówiąc bez ogródki — trochę barbarzyńską, w sprzeczności z jego znakomitą choć mało uprawioną inteligencją. Na wymowie zbywało mu zupełnie, a odwrót jego z Litwy, któremu zawdzięczał swoją buławę, był zasługą, którą tylko uczeni wojskowi należycie ocenić mogli, lecz nie miał tego blasku, co działa na wyobraźnię ogółu w wojskach — w oczach ich najmniejsze zwycięstwo *więcej warte*, niż najmniejszej odwrót.

Demiński poznał snąć, że się w fałszywym

położeniu postawił i jak to zwykle bywa w takich razach, popsuł je jeszcze bardziej swoim zachowaniem się niezręcznym. Przez cały czas przemowy Skrzyneckiego był zaszępiiony, głowę miał zwieszoną tak, że nie widać było rysów jego twarzy, tylko długie, zawiesziste jego wąsy. W dodatku wystąpił na pięknym koniu, ale czarnym jak kruk i który także głowę spuścił smutnie, jak jego pan, jakby na dopełnienie obrazu *Rycerza smutnej figury* na równie smutnym rumaku.

W przemowie swojej pocziwiy generał nie innego powiedzieć nie umiał, coby go podniosło w opinii słuchających go oficerów i żołnierzy, jak to, że będzie szedł w ślady swojego poprzednika, ażeby zasłużyć sobie choć w części na tę miłość całego wojska, jaką on sobie zjednał—na co każdy w duchu odpowiadał: „Po cóż nam kopia, kiedy możemy mieć oryginał“.

Drugi błąd Dembińskiego był cięższym jeszcze. Okazawszy aż nadto skromności i zapomnienia o sobie przed frontem armii, nazajutrz czy trzeciego dnia oburzył na siebie Rząd, sejm i całą Warszawę krokiem zbyt ambitnym. Zażądał władzy dyktatorskiej, nie mając należytej podstawy na którejby ją mógł oprzeć, to jest zupełnego zaufania narodu, a przynajmniej wojska. Trzeba mu było najprzód tę podstawę sobie stworzyć jednym świetnym zwycięstwem i zdaje się, że o tem myślał, gdyż natychmiast po objęciu dowództwa zarządził odwrót wojska pod Sochaczew, gdzieśmy zajęli nader silną pozycję, odparwszy w pięknej bitewce pod Szymanowem korpus Witta, stanowiący przednią straż wiel-

kiej armii rosyjskiej, który nam drogę zastąpił. Była to jakby zapowiednia stanowczego zwycięstwa, ale Dembiński nierozważnym pośpiechem wszystko zepsuł. Sejm bez długiego namysłu z hetmaństwa go zrzucił, a wojsko przyjęło wiadomość o tem, pod Sochaczewem, bardzo obojętnie.

Na tem skończyła się Dembińskiego karyera w roku 1831. Na emigracyi skazany na nieczynne życie, z nader czynną głową, nie lubiącą spoczynku, zwłaszcza pod wpływem Paryża, który działał w sposób odmladzający na wchodzącego już w jesień życia wojaka — rozgrzewał mu wyobraźnię i serce—rzucił się w zapasy z mechaniką, chemią i oporniejszym jeszcze rutynizmem francuskim, ażeby wstępny bojem zdobyć sobie choć milionik na miejsce szlacheckiej fortuny, którą mu rząd rosyjski w największej części skonfiskował. Nie widziałem żadnego z jego wynalazków, ale przyjaciele jego, a mianowicie poseł Barzykowski, na którego zdaniu polegać można, zapewniali mnie, że nie było ani jednego, któryby nie miał w sobie myśli inteligentnej i oryginalnej, a niektóre błyszczały myślą twórczą, tylko jedne z nich nie miały za sobą dowodnej praktycznej użyteczności, drugie nie były zupełnie dojrzałe, inne nie przedstawiały się w formie dostatecznie przekonującej. Pierwszym, zdaje się, pomysłem wynalazczym, jaki miał Dembiński, było użycie ogromnej siły zgęszczonego powietrza, wpuszczonego w próżnię, ażeby popychać pociąg pod górę na pochyłych drogach. System na takim pomysle oparty, urzeczywistniony został na drodze z Paryża do St. Germain pod niewłaściwym

nazwaniem „Drogi atmosferycznej“. Dembiński twierdził, że ten pomysł od niego pochodził, że go powierzył jednemu Francuzowi, a ten mu go ukradł. Jeżeli tak było, a wątpić o tem nie można, to generał powinien był sobie powinszować, że mu ów wynalazek ukradziono. Droga atmosferyczna ogromne sumy kosztowała, a miała wielkie niedogodności i nie wiele przynosiła—była ona przez jakiś dziesięć lat zabawką Paryżanów, potem upadła, jak to z góry przewidział był ojciec dróg żelaznych sławny Stephenson.

Z innych wynalazków Dembińskiego, ten, po którym on sobie najwięcej obiecywał, był nowy sposób uprawy ziemniaków, który podobno dawał zadziwiające rezultaty... w doniczkach. Na nie-szczęście rolnicy są zbyt zatwardziali w rutynie, ażeby rezultaty otrzymane w doniczkach zupełnie ich przekonać mogły. Trzeba było na to doświadczeń długich, cierpliwych i w wielkich rozmiarach; inaczej mówiąc, trzeba było Dembińskiemu nabyć spory kawał ziemi i na nim podług swojego sposobu uprawiać ziemniaki przez lat kilka; gdyby na tem ciągle dużo pieniędzy zarabiał, to powoli wynalazek jego byłby się upowszechnił—wszelkie inne środki przekonania żadnego skutku osiągnąć nie mogły.

Takież same zawody spotkały pono Dembińskiego we wszystkich zgoła jego wynalazkach. Nie wiele lepiej na nich wyszedł jak Zabłocki, ów typ historyczny przedsiębiorcy polskiego, w swojej spekulacyi na mydle.

Szcześliwszym od niego i bodaj czy jedynym

nawet szczęśliwym między wszystkimi wynalazcami polskimi we Francji był człowiek, który nie miał pretensyi ani do geniuszu ani do naukowego wykształcenia, lecz miał zdrowy, praktyczny rozsądek, wiele chłopskiej zmyślności, przytem był pracowitym, cierpliwym, wytrwałym, a przypadek wprowadził go na drożynkę, którą idąc z temi skromnemi darami mógł dojść do fortuny, gdy inni z większym talentem i większą nauką gonili za nią napróżno.

Nazwisko jego wspomniałem już nawiasem mówiąc o pułkowniku Gawrońskim—był to Urbanowski, ex-podoficer z 1831 r. Przybywszy do Francji, szukał on natychmiast pracy, bo z subsydyów, jakie rząd francuski wypłacał podoficerom polskim, nie był w stanie żyć, i znalazł pomieszczenie w fabryce pluszów na kapelusze w Lyonie. Nie rozumiał ani słówka po francusku, ale znał język niemiecki, a farbiarz w tej fabryce był Niemcem czy Alzatezykiem i dało mu go do pomocy, poprzestając na tej rękojmi, że był dawnym żołnierzem i *un brave polonais*, a przeto sekretów fabryki pewnoby nie zdradził, zwłaszcza że po francusku nie umiał. Trzeba bowiem wiedzieć, że każda podobna fabryka miała w owym czasie swoje sekrety farbiarskie i dlatego do pomocy farbiarzom przydzielano tylko ludzi pewnych. Urbanowski pracował przy farbiarzu lat kilka i pozyskał zupełne jego zaufanie, tak, że ten wyuczył go swojej sztuki i wtajemniczył do sekretów wyłącznie właściwych fabryce, ale słabą stroną wszystkich fabryk tego rodzaju, której żaden z owych farbiarskich sekretów dostatecznie nie zaradzał, było to, że ogólnie nie

umiały nadać pluszowi farby doskonale czarnej i trwałej. Wszystkie kapelusze ówczesne po niedługim użytku przybierały odcień mniej lub więcej rudawy, weale nieładny. Urbanowskiego chęćka wzięła próbować, czy mu się nie uda wynaleźć farby czarnej, pięknej i nie ulegającej żadnej zmianie. Zaczął pracować nad tem w wielkiej tajemnicy, nocami, w swojej izdebce. Mięszał pospołu najrozmaitsze kolory i ingredyencye chemiczne, jak mu to do głowy przychodziło; nie zrażał się żadnem niepowodzeniem, pracował jak alchemik, szukający kamienia filozoficznego i znajdował w swoich coraz nowych doświadczeniach coraz silniejszą podniętę, żeby doświadczać dalej, póki nie rozwiąże problemu, jaki sobie założył.

Nakoniec udało mu się wytworzyć farbę prawie doskonale czarną, przytem połyskującą i trwałą. Długo jednak nie śmiał z nią wystąpić. Mówił sobie: „może to głupstwo i wystawię się tylko na śmiech Francuzów“, aż dopiero nadarzyła mu się sposobność tak przyjazna do wyprowadzenia na jaw swojego wynalazku bez narażenia się na śmiech Francuzów, że mu przyszła odwaga. Farbiarz ciężko zachorował—fabrykant znalazł się z tego względu w wielkim kłopotcie; co widząc Urbanowski, który już po francusku trochę się był poduczył, odezwał się śmiało, że może farbiarza zastąpić, znając wszystkie jego sposoby. Fabrykant pozwolił mu jedną sztukę pluszu na próbę zafarbować — tego też tylko było mu potrzeba; powiedział sobie: „teraz, albo nigdy“ i zafarbował swoją farbą powierzoną mu sztukę pluszu. Zbyt długo byłoby opo-

wiadać zdumienie fabrykanta, przyjaciół których zwołał, przełożonych w fabryce i całej rzeszy rzemieślników, gdy pokazał swoją próbę. Był to prawdziwy *coup de théâtre*, wszyscy postrzegli od razu, że to nie była używana zwykle farba, lecz inna, doskonalsza od wszystkich dotąd znanych, i Urbanowski nie widział potrzeby taić, że jest jej wynalazcą. Fabrykant wszedł z nim w układy — zaproponował mu, ażeby wynalazek swój oddał na wyłączny użytek jego fabryki, a za to ofiarował mu pewien udział w zysku z całej swojej fabrykacji i miejsce farbiarza dosyć drogo płatne. Urbanowski zgodził się na to i obydwaj bardzo dobrze wyszli na spółce. Po kilku latach fabrykant zyskał kilka milionów i w dodatku medale na wszystkich wystawach przemysłowych. Urbanowski musiał poprzestać na mniejszem, lecz i to przeszło wszelkie jego marzenia; zlikwidował swój udział w zyskach fabryki podobno za 1,500,000 fr. i, zwolniwszy się od pracy obowiązkowej, żyje dotąd swobodnie w zimie w swoim własnym domu w Lyonie, w lecie w swojej villi pod Lyonem, a pomyślność, trzeba mu oddać tę sprawiedliwość, nie zrobiła go samolubem—łoży, kiedy tego potrzeba, na cele patriotyczne w rozumieniu demokracji, do której należy i nie szepędzi pomocy biedniejszym rodakom.

Na Urbanowskim zakończę księgę wynalazców i wynalazków polskich w emigracji, bo, przedłużając ją, miałbym pono same już tylko zawody do zapisania — a zawody wynalazcy są to cierpienia, które *Dante mógłby* był śmiało w swoim Piekle umieścić. Dla emigranta mianowicie wynalazek, którym

się ludził, był najczęściej jedynym kącikiem błękitnym na jego posępnym widnokręgu i gdy ten się zasunął zostawało mu życie bez nadziei, bez wiary w siebie—czasem przed nim otchłań, której w myśli już nawet nie miał czem zapełnić, zwłaszcza jeżeli miał rodzinę do wyżywienia.

Zapewne, największa część wynalazków emigracyjnych była albo oparta na fałszywej zasadzie, albo nie odpowiadała żadnej potrzebie rzeczywistej; było nawet wiele śmiesznych, ale były i takie, które miały w sobie pierwiastek pożyteczny i płodny, tylko niedostatecznie obrobiony, i nie jeden jeszcze wykwitnie kiedyś na francuskiej ziemi, tylko nikt wiedzieć nie będzie, że go polska ręka zasiała.

XV.

Od wynalazków i rozlicznych projektów przemysłowych emigracyi mogą — bez nadzwyczajnego skoku — przerzucić się do jej planów politycznych i wogóle do wspólnych nam wszystkim Polakom, przed niedawnym jeszcze czasem patryotycznych marzeń. — Owe bowiem wynalazki i wszystkie te plany, wszystkie te marzenia kwitły na jednejże niwie, a tą jest bujna i płodna polska wyobraźnia — wytwarzająca poetów nieśmiertelnych — malarzy pierwszorzędnych — twórców wszelkiego rodzaju — czasem proroków, ale zarazem wydająca ciągle plony złudzeń, któremi się dosyć powszechnie żywimy, a zbyt często upajamy aż do szaleństwa.

Zwyczaj to nasz dawny wierzyć jakby w rzecz najpewniejszą, w to, czego pragniemy i ani przypuszczać — przynajmniej na seryo — że inaczej stać się może. Jednym przykładem tego byli wynalazcy emigracyjni, z których każdy prawie widział dobrą *tylko stronę* swojego pomysłu, a na odwrotną *bardzo mało* zwracał uwagi i pochlebiał sobie, że jest

na drodze fortuny gdy tymczasem brnął w coraz większą biedę; lecz podobnież i całe pokolenia polskie widziały zawsze tylko jedną stronę sprawy narodowej, stronę słuszną, świętą, wszystkie ludy cywilizowane obchodzącą, a nie obliczały się nigdy z olbrzymiemi trudnościami, które stanowią drugą jej stronę i zamiast pracować cicho—cierpliwie—wytrwale, aby siły nasze wzmacniać, skupiać, jednoczyć i w przymierzu z czasem i z Bogiem trawić jak rdza tę obręcz żelazną, której wręcz złamać nie jesteśmy w stanie ¹⁾ występowały po kolei w 1831, 1848, 1863 do walki otwartej z dziesięć kroć silniejszym nieprzyjacielem i upadały jedno po drugim wobec nieporuszonej Europy, sprowadzając na kraj coraz cięższe plagi.

Między walką 1831 r.,—która jeszcze w pewnej chwili przedstawiała możliwość tryumfu — gdybyśmy mieli nowego Żółkiewskiego lub Czarneckiego na czele—a walką 1863 r., w której zwycięstwo nie było ani na chwilę podobnem, przez te lat trzydzieści, całe nasze życie narodowe skupiało się w emigracyi; emigracya zaś zaszła była aż za Ren, aby tam znaleźć archimedesowski punkt oparcia dla podźwignięcia Ojczyzny, której niestety, zbawić nie potrafiliśmy, mając blisko stotysięczną i prawdziwie bohaterską armię—200 milionów złotych polsk.

¹⁾ Nie mówię tu o Austrii, która jest dziś naszym naturalnym sprzymierzeńcem, ale o Rosyi, na którą wpływ ducha, cywilizacyi, i obyczajów polskich był ogromny przed 1831 rokiem i po niedługiej przerwie zaczął znnowu działać aż do 1862 roku.

zaoszczędzonych w skarbie—zasoby wszelkiego rodzaju — i waleząc na własnej ziemi, gdzie za każdym krokiem posuniętym ku granicy Dźwiny i Dniepru mogliśmy znaleźć nowe siły i nowe zasoby. Chimeryczne to przedsięwzięcie było jednakże fatalnie narzucone szlachetnym rozbitkom 1831 roku, skoro dłuższej walki prowadzić nie byli w stanie, a ukorzyć się przed siłą i skwitować z praw narodowych nie chcieli. Postawili się oni w jakiejś sferze idealnej wśród zmateryalizowanej Europy — założyli sobie słowem, piórem, ideami góry poruszać i od takowej pracy honor odstąpić im nie pozwalali. „Polak emigrant — mawiał Wł. Zamoyski lubo konserwatysta z zasad i stronnik władz—Polak emigrant nie biorący udziału w politycznym zadaniu wychodźstwa polskiego, jest dezserterem z pola, na którym toczy się walka o wszystko co jest najświętsze“ ¹⁾ — i mało też było takich dezserterów w emigracyi. Każdy prawie wychodźca, czy miał zyskowne zajęcie, czy nie miał żadnego, czy stworzył sobie byt wygodny, czy żył o głodzie, czy łamał sobie głowę nad wynalazkami, ażeby zwalczyć biedę, czy z tą biedą się godził, każdy przedewszystkiem zaprzętał się polityką ²⁾, dla każdego

¹⁾ Bronisław Zaleski, monografia Orpiszewskiego w „Przełądzie Polskim“ na miesiąc wrzesień 1875 r.

²⁾ Mickiewicz tak maluje w liście do brata swojego stan moralny emigracyi w 1841 r.: „Nie możesz wystawić sobie, co to za bieda z ludźmi zamkniętymi w tak smutnem położeniu. Każdy dzień i noc, kuje projekta polityczne i wścieka się, kiedy drugich nie może na swoją stronę przeciągnąć. Chodzą nasi na mój kurs, ale dlatego, żeby się wywieźć

głównym celem życia było odzyskanie Ojczyzny — ale jak ją odzyskać? W tem różniły się zdania i inaczej być nie mogło wśród tylu głów polskich. Dwie drogi się przedstawiały jako mogące doprowadzić do tego celu, nie licząc dróg mistycznych — droga dyplomatyczna i droga konspiracyjna. Sędziwy niegdyś prezes Rządu narodowego wszedł na pierwszą, a za nim poszli w większej części senatorowie, posłowie, generałowie, będący w emigracyi i wszyscy ci, którzy wierzyli w jego patriotyzm czysty i niezachwiany—jego długie doświadczenie, w jego wysokie znaczenie w świecie politycznym. Na drugą stronę rzuciła się część gorętsza, niecierpliwsza, mniej doświadczona emigracyi.

System księcia Czartoryskiego polegał na tem, ażeby sprawę polską utrzymywać ciągle na widoku, przekonywać wszystkie zdrowe umysły o jej ważności europejskiej, a zarazem rozgłaszać środki, jakich używa Rosya przeciw naszej narodowości, oraz jej zabiegi ambitne, zagrażające światu całemu—innemi słowy na szerzeniu w całym ucywilizowanym świecie współczucia dla Polski, a nieprzyjaźni ku Rosyi. Działał na opinię publiczną, a w pewnej mierze i na rządy przez dzienniki, które opłacał—przez ludzi wpływowych w izbach francuskich i w parlamencie angielskim, których dla Polski zjednać potrafił—nakoniec przez agentów swoich w różnych krajach:—w Londynie, w Sztokholmie, w Wie-

z jakiej ja partyi? czy arystokrata? czy demokrata? i gniewają się, że ja im o polityce nie gadam*. *Korespondencya Niewiasta*, t. I, str. 176.

dniu, w Rzymie, w Konstantynopolu. Zresztą stanowisko księcia Czartoryskiego było wyczekujące. Nauczony doświadczeniem dziejowem i swoim własnym wśród ogromnych wypadków, które przeżył, że nikt przewidzieć nie może, co się stać ma na świecie, że najczęściej to się staje, o czem ludzie polityczni najmniej myślą, a nie to, na co najczęściej liczą i na czem się ubezpieczają, nie wiązał losu Polski z żadną wyłącznie hipotezą polityczną, lecz szukał dla niej wszędzie sprzymierzeńców i starał się być przygotowanym na wszelkie wypadki, nastąpić mogące, aby z nich korzystać ile się da.

Ta polityka powolna, cierpliwa, oględna, przytem otaczająca się tajemniczością niezbędną w działaniach dyplomatycznych, nie przypadła gorętszej części emigracyi, która nie pokładała żadnej utności ani w istniejące wówczas rządy i parlamenty, ani w ogóle w dyplomacyę, a zbyt lekceważyła doświadczenie księcia Czartoryskiego. Natomiast wierzyła ona z najsilniejszym przekonaniem w możliwość nowego powstania w Polsce w daleko szerszych rozmiarach, niż było powstanie listopadowe, byle je umiejętnie i fundamentalnie przygotować, poświęcając wszystko temu celowi. „Jest nas mówila, 20 milionów Polaków i Rusinów na przestrzeni dawnej Polski — poruszmy te masy, sfanatyzujmy je i wywołajmy prawdziwe pospolite ruszenie, a obejdziemy się bez wszelkiej obcej pomocy — *Polonia fara da se*”.

Jeżeli porównamy teraz skutki działań jednego i drugiego stronnictwa, przekonamy się, że *najwięcej ludzili się demokraci*. Cały ich plan polegał

na złudzeniu, które wyprowadziło na śmierć męczeńską tylu prawdziwych bohaterów, wysłanych jako emisjaryuszów do kraju, ściągnęło najśrodsze prześladowania i niepowetowane klęski na wiele bardzo patriotycznych rodzin, a skończyło się najsmutniejszym rozczarowaniem, nad którym rozwodzić się nie mam potrzeby, bo aż nadto pamiętne jest wszystkim.

Stronnicstwo Hotelu Lambert doznało także wiele ciężkich zawodów—jeżeli bowiem demokraci poświęcali nadaremnie najdzielniejszych swoich ludzi, ażeby obudzić w chłopstwie naszym śpiącego jeszcze ducha, a po części, jak w Galicyi, znarowionego długim i zgubnem działaniem wrogiego nam rządu—to z drugiej strony Hotel Lambert, zużywał napróżno najlepiej obmyślane środki, aby poruszyć i wyprowadzić na drogę wielkiej polityki krótko widzący, apatyczny, w ciasnem kółku interesów materialnych zasklepioy egoizm rządów i klas rządzących na Zachodzie. Hotel Lambert potrafił zająć takie stanowisko w kwestyi wschodniej, że Francya i Anglia traktowały z nim i wchodziły z nim w porozumienia, jakby z jakim mocarstwem, we wszystkim, co się do tej wielkiej kwestyi odnosiło; agenci bowiem Hotelu Lambert na półwyspie Bałkańskim, Czajkowski ¹⁾, Kościelski i inni, lepiej byli

¹⁾ Przykro mi wypisać nazwisko tego renegata, ale zaprzeczyć nie można, że, będąc agentem hotelu Lambert wypełniał nader czynnie i z wielkim sprytem powierzoną mu misję i stał się popularnym między Słowianami podbalkańskimi.

zawiadomieni o rzeczach, które tym rządowi wiedzieć trzeba było i nierównie więcej wpływu wywierali na ludy słowiańskie tych stron, niżeli ich konsulowie. Była chwila, kiedy Hotel Lambert sądził się już blizkim celu, do którego powolnie zmierzał; mianowicie gdy wybuchła wojna wschodnia 1854 r., wywołana głównie jego niezmordowanymi zachodami i publikacyami, począwszy od ogłoszenia sławnego *Portofoglio*, zawierającego, jak wiadomo, tajne korespondencye w sprawie wschodniej, znalezione w gabinecie W. ks. Konstantego. Na nieszczęście duch kupiecki Anglii przeważył w radzie sprzymierzonych mocarstw i skrzywił całą wyprawę—zrobił z niej chybioną epopeję. Zamiast podnieść Polskę, która przez tyle wieków była przedmurzem, osłaniającem Europę, a w 1854 r. pokazała się ze swoją chorągwią tulącą obok Francyi, Anglii, Piemontu i Turcyi, mocarstwa te po dwuletniej wojnie, wyrzuconych miliardach i wylanych potokach krwi poprzestały na tem, że związały Rosyę blahymi warunkami traktatu paryskiego — istnym sznureczkiem jedwabnym, który ona rozerwała w kawalki, gdy się nadarzyła pierwsza przyjazna sposobność, i dziś jest pod murami Konstantynopola, u celu swojej wiekowej polityki ¹⁾.

Traktat paryski zniweczył więcej, niż dwudziestoletnią pracę księcia Czartoryskiego, lecz nie jestżte rzeczą podziwienia godną, że człowiek jeden bez władzy—wygnaniec i starzec osiemdziesięcioletni—

¹⁾ Pisane w październiku 1878 r.

mógł tyle zdziałać w największej i najtrudniejszej sprawie europejskiej; to jest odciągnąć ludy całe z pod wpływu Rosyi i przysposobić z nich sprzymierzeńców dla Zachodu. Nietylko bowiem w Serbii i w Bułgarii sparaliżował wpływ Rosyi, ale i w Szwecyi gdzie agenci jego ująć sobie potrafili rząd i naród—jak się to pokazało dowodnie w r. 1863 w czasie wyprawy Łabęckiego. Czego niestety stary książę dokazać nie mógł, to przekonać najbardziej właśnie zainteresowane w tej kwestyi mocarstwa o tej prawdziwie jasnej jak dzień, że ona rozwiązana być może na korzyść cywilizacyi li tylko nad Wisłą— a nie nad Dunajem, a mniej jeszcze nad Bostorem.

Działalność Hotelu Lambert nie ograniczała się wszakże do jednej sprawy wschodniej, rozciągała się ona i na inne pola, gdzie jej podobnie przykre zawody nie spotkały—w Rzymie mianowicie wydała ona zbawienne owoce. Wiadomo powszechnie, że Papież Grzegorz XVI potępił solenną encykliką nasze powstanie listopadowe; prawdziwy autor tej encykliki, kardynał Lambruschini, sekretarz stanu Ojca św., patrzył na rzeczy polskie tylko przez szkiełka obce, żadnego Polaka przyjeżdżającego nawet za paszportem i choćby duchownego przypuścić do siebie nie chciał, a wychodźcom polskim przystęp do Rzymu był zupełnie wzbroniony. Uprzedzenia przeciw Polakom były zresztą prawie powszechne między kardynałami. Hotel Lambert potrafił przełamać te lody. W roku 1837 udało się Wł. Zamoy-skiemu, przez potężne wpływy otrzymać posłuchanie u Ojca św. i przekonał go dowodnie, że Rosya zwodzi Rzym—że uciska katolicyzm i szerzy gwał-

tem schyzmę między rusińskimi unitami—że jeżeli więc duchowieństwo polskie jest nieprzychylnie Rosyi i podpira sprawę narodową, to dla tego, że sprawa ta jest jak najściślej złączona z interesami Kościoła, w którego obronie Polska nie od dziś, lecz od 10 wieków stoi. Papież się udobruchał, jednak kilka lat trzeba było jeszcze nad nim pracować, nim zezwolił na pobyt w Rzymie emigranta, agenta polskiego. W 1844 r. dopiero mógł książę Czartoryski wyprawić tam Ludwika Orpiszewskiego, człowieka oględnego, ostrożnego, z wielkim taktem, stworzonego niejako do podobnej misyi i posiadającego zupełne jego zaufanie. Orpiszewski, lubo opatrzony listami polecającymi od nuncjusza papieskiego w Paryżu, został bardzo jeszcze zimno przyjęty przez kardynała Lambruschiniego, lecz w ciągu jednego roku tak potrafił zjednać sobie większą część kardynałów i całe wyższe towarzystwo rzymskie, nakoniec i samego kardynała Lambruschini, że przebywać mu spokojnie w Stolicy św. pozwolono, nawet w ciągu pobytu tam cesarza Mikołaja w 1845 roku, a gdy Pius IX wstąpił na tron, nie znalazł już w swoim otoczeniu tego wrogię nam usposobienia, które nas dawniej przedzielało od Głowy Kościoła. Szlachetny Pius IX dopuszczał Polaków do siebie, słuchał ich chętnie, niektórych serdecznie polubił, a w pierwszym rządzie, wraz ze starym generałem Szymanowskim, Orpiszewskiego. Orpiszewski, szczęśliwem przecuciem wiedziony, zaprzyjaźnił się był ściśle przed wyborem jeszcze Piusa IX z jego synowcem, *hr. Gabryełem Mastai*, i to mu dało tak silną podstawę na dworze papieskim, że mógł ciągle komu-

nikować sekretarzowi stanu Ojca św. memoriały, które mu książę Czartoryski przesyłał. Pius IX coraz więcej się przekonywał z jednej strony o zgubnych dla katolicyzmu zamysłach rosyjskich, z drugiej strony o niewzruszonym przywiązaniu polskiego narodu do kościoła i coraz bardziej brał do serca los Polski. W chwili gdy los jej był najcięższy, nie mogąc sam jej osłonić, nakazał powszechnie modły za nią -- a z jakimże rzewnem, prawdziwie ojcowskiem uczuciem przyjął deputacye nasze, przybyłe do Watykanu złożyć mu hołdy narodu z okoliczności pięćdziesięcioletniego jubileuszu jego pasterstwa nad duszami. U stóp jego tronu złączyły się wszystkie części Polski, a on jedność ieb błogosławieństwem swoim utwierdził i odwagę do zniesienia wszystkich wymierzonych przeciw nim ciosów pokrzepił. Nakoniec jednym z ostatnich aktów jego pontyfikatu był zakaz uroczysty przez św. kongregacyą konsylium wydany duchowieństwu polskiemu wprowadzania języka rosyjskiego do kościołów naszych. Przez to sprawa narodowości polskiej została solidarnie związana ze sprawą Kościoła i solidarność tę potwierdził Leon XIII w tych słowach, które z głębokim rozrzewnieniem powiedział Polakom: „Wszystkich was, Polaków, noszę tu, w sercu mojem”.

Ta opieka najwyższej władzy widomej w kościele przyniosła nam w zysku, prócz wzmocnienia dusz pobożnych w różnych dzielnicach Polski, czynne współczucie całego duchowieństwa katolickiego, tudzież wszystkich katolickich organów i ogółu szczerych katolików w Europie. Jest to wielka siła,

którąśmy pozyskali do sojuszu z nami, a do takiego rezultatu przyczyniły się głównie cierpliwe i umiejętne zachody Hotelu Lambert. Znakomita to niewątpliwie usługa, którą wyświadczył sprawie narodowej, nie narażając kraju na żadne nowe prześladowania ze swojej przyczyny.

Bezstronność, którą wziąłem sobie za prawo, pisząc niniejsze wspomnienia, nakazuje mi obliczyć się jeszcze sumiennie ze stronnictwem demokratycznym. Sądzę, że głos historyi potępi je za zuchwały i nierozważny plan powstania wśród najmniej przyjaźniejszych okoliczności i to nie przeciw jednemu mocarstwu, ale przeciw trzem zarazem. Na krótki czas przed jego wybuchem, Józef Wysocki przyszedł do Hotelu Lambert, jako delegat centralizacyi, spytał księcia Czartoryskiego, czy on i jego stronnictwo chcą przystąpić do powstania. Księżę uprzedzony, że centralizacya krok ten do niego zamierza uczynić, naradził się z przyjaciółmi i odpowiedź przygotowaną dał Wysockiemu w tych słowach: „Nie jesteśmy bynajmniej przeciwni w zasadzie powstaniu; przyznajemy, że Polska ma prawo powstać, ale zdaniem naszym nie ma żadnego podobieństwa, aby się to powstanie udać mogło; sprawdzi tylko okropne klęski na kraj, i z tego względu jesteśmy mu zupełnie przeciwni”. Była to odpowiedź rozumu politycznego na głos ślepej namiętności.

Tak, Polska miała prawo powstać i konspiracyjskie działanie centralizacyi nie było zdrożnem *w zasadzie, lecz w tem, że nie było kierowane żadną zdrową myślą polityczną.* Gdyba centralizacya

ograniczyła się była na obmyśleniu i przygotowaniu środków powstania, a czekała z daniem hasła na wybuch, póki się okoliczności przyjazne nie nadarzą, to w osiem lat później, podczas wojny krymskiej, miałyby była jak najsposobniejszą porę po temu. Wtenczas powstanie, nie przeciw trzem mocarstwom razem ale przeciw Rosyi samej i prowadzone z taką energią jaką rozwinęli przywódcy powstania 1863 roku, byłoby niewątpliwie osiągnęło, jeżeli nie w zupełności, to przynajmniej w znacznej części pożądaný skutek, bo choćby Anglia nam odmówiła swojej pomocy, to Napoleon III z żadnej miary odmówiłby nam jej nie mógł. Zasady jakie zawsze wygłaszał, głos opinii we Francyi, potrzeba utrzymania uroku imienia swojego, który był całą jego siłą, niemniej jak i interes Francyi, złączony z interesem ogólnym cywilizacyi zmusiłoby go—skoro już był w wojnie z Rosyą—ażeby poparł powstanie w Polsce ¹⁾, ale niewczesny wybuch 1846 roku, zużył był wszystkie środki centralizacyi, sparaliżował siły moralne kraju i Polska nie ruszyła się w tej tak ważnej chwili z wielkiem zdziwieniem całej Europy, a powstała w siedem lat później wśród ogólnego pokoju.

Wytknąwszy ten brak przezorności i w ogóle

¹⁾ Napoleon III, wysyłając flotę francuską na Bałtyk, wezwał był ks. Czartoryskiego do Tuilleryów, ażeby się go poradzić, czyby można i w jakim punkcie wylądować korpus wojska na Litwie. Książę mu wskazał Połagę, ale pokazuje się, że projekt ten znalazł przeciwników w jego radzie ministrów.

wszelkiej praktyczności w planach demokracji, przyznać jej trzeba, że podtrzymywała życie polityczne w emigracyi, a przez to i godność jej w obec kraju i cudzoziemców, a ożywiała duchem bohaterskim młode pokolenia polskie, które ze wszystkich części kraju ku niej się zwracały, oczekując od niej i jej hetmanów zbawienia ojczyzny—szkoda tylko, że nie u miała lepiej niemi pokierować.

Słowa powiedziane przez księcia Czartoryskiego Wysockiemu, wskazują co rzeczywiście rozdarło emigrację na dwa stronnictwa; to była, jak już napomknąłem wyżej, różność dróg i środków obranych przez nie dla odzyskania ojczyzny nie zaś teoretyczna sprzeczność zasad politycznych i społecznych, o które śmiesznemby było wadzić się, nie mając ojczyzny. Wprawdzie stronnictwo Hotelu Lambert, postawiło się na gruncie monarchicznym, ale na tym gruncie stała Polska przez dziesięć wieków i nie zeszła z niego nawet w powstaniu 1831 roku. Żadne więc stronnictwo emigracyjne nie miało prawa zerwać z tą tradycją — zdjąć koronę z nad orła i pogoni, bo do tego uprawnionym być mógł tylko nowy sejm konstytucyjny — lecz, zachowując zasagę monarchiczną, ani księżę Czartoryski, ani nikt w jego stronnictwie nie myślał o wskrzeszeniu jakiegobądź przywilejów, które w Królestwie kongresowem już nie istniały. Wszyscy czuli to dobrze, że w Polsce podobnie jak w każdym innym kraju, należącym do cywilizacyi zachodniej, społeczeństwo nie ostałoby się na innej podstawie, jak na równości *wszystkich wobec* prawa cywilnego i politycznego. *Księżę Czartoryski w szczególności tyle uczynił był*

dla rozkrzewienia jak najszerszego oświaty w Polsce, do takiego dobrobytu doprowadził włościan w swoich ogromnych dobrach puławskich, granowskich, sieniawskich, gdzie już w r. 1823 przeprowadził był regulację gruntów włościańskich i oczynszowanie ich de facto — nie mogąc tego uczynić prawnie — nakoniec tak skrętnie wyszukiwał ludzi zdolnych, w jakiegokolwiek sferze społecznej zrodzonych, ażeby zużytkować ich zdolności na korzyść kraju, iż rzucać mu w oczy zarzut zasadniczej jakiejś arystokracji było największą niesprawiedliwością. Maurycy Mochnacki, przyznał sam w swojej historii powstania 1831 r., że „arystokracja była raczej w manierach księcia niż w jego sercu”. Księżna Wirtemberska, mówiąc raz o kłótniach emigracyjnych, wykrzyknęła: — „Wszakże my wszyscy jesteśmy demokraci!” i miała słuszną, zapewne nie w znaczeniu przyznawania wszechwładztwa liczbom, ale w znaczeniu zasad 1789 roku.

Stronnictwo demokratyczne ze swej strony nie zapędzało się ani do republikanizmu, ani do socjalizmu, ani nawet do powszechnego głosowania. Przed rokiem 1848 cała Europa była monarchiczną; o głosowaniu powszechnem powiedział Guizot w izbie deputowanych, że do tego nigdy a nigdy nie przyjdzie we Francji, a zaledwie jeden lub dwa głosy mu zaprzeczyły; socjalizm zaś dopiero się wylęgał w książkach mało czytanych i tak niedotworzoną miał postać, że nawet biednych rzemieślników nie przynęcał, a duchowi polskiemu zupełnie był wstrętny. Darasz i później go się wyrzekał, a wogóle,

prócz jednego Worcla, nie znalazłem nigdy Polaka emigranta socyalisty ¹⁾.

Zasady, na których się opierało stronnictwo demokratyczne, nie wiele się więc różniły od tych, które i arystokraci Hotelu Lambert uważali za słuszne, tylko wygłaszane były w sposób jaskrawy, przeplatane wyrzutami czynionemi panom i szlachcie za winy ich przodków, i ilustrowane obietnicami zbyt hojnymi dla klas upośledzonych z krzywdą tych, którzy krwią swoją wszystkie niwy ojczyste zrosili, ale też programu demokracji nie należało brać bardzo na seryo. Był on, jak wszystkie programy tego rodzaju, niezem innym, jak narzędziem do poruszenia mas i w kraju ani w 1846 ani w 1848 roku, nikt go się nie lękał. Rzeczywiście nie było między dwoma głównemi stronnictwami w emigracji żadnej przepaści niepodobnej do zapelnienia—podobne im istnieją we wszystkich krajach konstytucyjnych i tolerują się—ponderują—nawzajem, ale u nas miłość własna bardzo drażliwa — próżność dosyć ogólna pod różnemi formami—skłonność do egzageracji we wszystkim i łatwowierność uprzedzająca, z jaką przyjmujemy, co tylko złego słyszymy o drugich, mięszają się do wszelkich sporów i przerażają je w zażarte walki, a w emigracji przyczy-

¹⁾ Może nie jeden był marzyciel, który jak poczciwy pułkownik Gawroński czytał Cabet'a, Fourier'a, Considerant'a i znajdował pewne upodobanie w tych utopjach; ale, o ile wiem, żaden się do sekty socyalistów nie przyłączył; ci, co walczyli w szeregach komunistów, czynili to, aby z głodu nie umrzeć. *Dąbrowski* bodaj czy nie jeden wyniósł z wojska rosyjskiego jakieś nihilistowskie idee.

niło się do tego jeszcze rozdrażnienie ogólne, będące skutkiem nieszczęść wspólnych wszystkim i zmar-twień prywatnych, od których żaden wychodźca nie był wolnym. To tłumaczy dla czego dwa stronnictwa emigracyjne, jednakimże patryotyzmem przejęte i zmierzające do jednegoż celu, tylko różnemi drogami, stały naprzeciw siebie przez lat kilkanaście jak dwa wrogie obozy, lecz historia ich kłótni nie wchodzi w zakres niniejszych wspomnień. Gdym przybył do Francji, kłótnie te zaczynały się już uciszać; odzywały się tylko echa dawnych zarzutów i jątrzyły się jeszcze rany niesłusznie zadane, ale do napaści wzajemnych nie było już nietylko rzeczywiście powodu, ale nawet żadnego pretekstu. Oba stronnictwa znużone i mniej lub więcej rozczarowane bezskutecznością swoich zamysłów, zostały zaskoczone wypadkami, których ani one, ani nikt na świecie nie przewidywał. Była to wstępna doba tej ery zmian ogromnych, tak w stosunkach międzynarodowych państw europejskich, jak i w organizacji wewnętrznej, która dotąd się jeszcze przeciąga i zapewne nie prędko się skończy. Tę to dobę, pełną najświetniejszych dla nas nadziei, zakończonych jak zwykle smutnemi zawodami, pochwyciłem w przelocie, ażeby opisać jej wydarzenia o ile byłem ich świadkiem. Przerwałem moje opowiadania, ażeby skreślić ogólny obrazek emigracji, a dla wiernego odmalowania jej kół, kółek, koteryi i kategorii rozmaitych, również jak i jej osobistości wybitnych, musiałem częstokroć czynić wycieczki w dawniejsze lub późniejsze lata i moje spostrzeżenia własne z owego czasu uzupełnić postrzeżeniami

27 lat następnych, spędzonych w emigracji; lecz nicią moją przewodnią jest rok 1848 i 1849. Do tej nici wracam ostatecznie.

Nadzieja nasza, oparta na węgierskiej sprawie, ostatnia z tych, które nam zaświeciły gromadnie jakby promienna zorza w marcu i kwietniu, zdawała się już także bardzo blisko zagaśnięcia po zajęciu Pesztu przez Austryaków 4 stycznia 1849 roku i cofnięciu się Węgrów za Cisę; ale upływały tygodnie i miesiące, a nie było słyhać o dalszych postępach Austryaków, co zdawało się niezłym znakiem podług francuskiego przysłowia: „*Point de nouvelles, bonnes nouvelles*”. W rzeczy samej armia węgierska, na której czele stanął Dembiński, reorganizowała się i wzmacniała za Cisą i na początku marca dowiedziliśmy się z gazet, że ją Dembiński wyprowadził na prawy brzeg tej rzeki na spotkanie Windischgrätza i że obie armie starły się 27 lutego pod Kapolną. Dembiński zaraz za przyjazdem swoim do Debreczyna, rozpatrzywszy się w położeniu wojsk na szachownicy wojennej, przewidział był, że około tego punktu nastąpi walna bitwa i spodziewał się Austryaków zgnębić. Poczynił po temu najmądrzejsze rozporządzenia i miał już prawie w ręku zwycięstwo, lecz mu je wytrąciło nieposłuszeństwo generałów węgierskich. Görgöi przez cały czas bitwy działał wprost na przekór jego rozkazom, a Aulich, inny generał węgierski, cofnął się samowolnie z naznaczonego mu stanowiska do poblizkiego lasku i schował się w nim z 9,000 wojska. *Adjutanci Dembińskiego, wysyłani jeden po drugim do niego, wyprowadzić go ztamtąd nie zdołali. Była*

to jakby cicha zmowa, między tymi generalami, ażeby niemilego im wodza, dla tego, że był cudzoziemcem, o klęskę przypisać. Dembiński cofnąć się musiał, lecz cofnął się w porządku i wrócił za Cisię. Wszystkie te szczegóły wykrył dopiero generał Bulharyn, w dziele swoim o wojnie węgierskiej ¹⁾; w czasie wojny wiedzieć o nich nie mogliśmy w Paryżu. Zasmuciliśmy się z przegranej Węgrów, zwłaszcza, że ją gazety austriackie przedstawiały jako rozbitcie zupełne ich wojska, lecz niebawem pokazało się, że bitwa pod Kapolną, żadnej korzyści nie przyniosła zwycięzcom, a wiele posłużyła zwyciężonym. W kilka dni bowiem później przyszła wiadomość, że Węgry pod dowództwem Damianicza, zdobyli miasto Solnok z szansem przedmostowym na Cisię, a jak generał Bulharyn opowiada zabrali Austryakom osiem dział, mnóstwo amunicyi i bagażów i znieśli kilka pułków kawaleryi. Otóż Dembiński, ściągając na siebie wszystkie siły nieprzyjacielskie pod Kapolną, osiągnął był ten przynajmniej skutek, że ułatwił Damianiczowi zdobycie tak ważnego punktu strategicznego jakim był Solnok. Sam zaś cofnął się w takim porządku, że go Austriacy ścigać nie śmieli. Polacy odznaczyli się znakomicie w bitwie pod Solnokiem. Brygada, dowodzona przez Wysockiego, natenczas jeszcze podpułkownika, z dwoma kompaniami Polaków na czele, pierwsza rzuciła się do szturm, wzięła miasto bagneta mi przy różnych polskich okrzykach, a szwadron

¹⁾ Rys wojny węgierskiej, str. 150 i dalsze.

ułanów polskich pod dowództwem Ponińskiego (dziś generała dywizyi w służbie włoskiej), rozbił do szętu dywizyon dragonów austriackich, przyczem zginął porucznik Rzepecki ¹⁾. W końcu tegoż samego miesiąca, to jest 26, 27, 28 i 29 marca, cała armia węgierska przeszła znowu Cisę, pod Tisza-füred i odtąd zaczyna się długa serya zwycięstw ze strony Węgrów. Dembiński już nie był ich wodzem; intrygi Görgöja wzięły były górę nad prostodusznością zbyt naiwną i częstokroć niezręczną polskiego wojaka; Kossuth odebrał mu dowództwo i powierzył je chytremu i ambitnemu młokosowi, który miał węgierską sprawę zabić—zaprzeczyć mu jednak nie można, że kampanię zaczępną rozpoczął w sposób świetny. 2 kwietnia generał austriacki Schlik, był pobity przez generała Gasparego pod Hatwan ²⁾. 4 kwietnia takież sam los spotkał Jelaczyca pod Tapio-Biezko, stracił tam 1,500 ludzi i ledwie ująć potrafił z resztą—zwycięzcą był Serb z pochodzenia, ale najdzielniejszy z generałów węgierskich, wyżej wymieniony Damianiez, a Polacy nie mało przyczynili się i tym razem do zwycięstwa ³⁾. Dnia 6 kwietnia tenże sam Damianiez poraził na głowę korpus Schlika i połączone z nim rozbitki Jelaczyca pod Isa-

¹⁾ Rys wojny węgierskiej, str. 201.

²⁾ „Jeden pluton polski—powiada Baltharyn—(ib. str. 228) rozsypany w tyraliery pod dowództwem porucznika Jagmina, który zginął w ostatniej wojnie tureckiej) pod największym ogniem nieprzyjacielskim, przez rozebrany most po belkach przeszedł i, rzucając się na nieprzyjaciela walecznie, pięknie się odznaczył“.

³⁾ Rys wojny węgierskiej, str. 228.

szeg — zabił im 4,000 ludzi, a przeszło 2,000 wziął w niewolę. Książę Windischgrätz, zatrwożony temi postępami Węgrów, cofnął się z okolic nadcisańskich do Pesztu z główną armią; za nim postępował krok w krok Aulich i odciął od niego dwie brygady generalów Götz i księcia Jabłonowskiego, które schroniły się do Wacowa na zachód Pesztu, a tam przez połączone korpusy Damianicza Klapki i Gasparego, prawie do szczytu zniesione zostały; generał Götz zginął. — Polacy weszli pierwsi szturmem do Wacowa ¹⁾. Książę Windischgrätz, bojąc się, żeby nie był odejętym od Wiednia, nie długo się zatrzymał w Peszcie — przeszedł z całą siłą swoją na prawy brzeg Dunaju i począł się cofać ku austryackiej granicy; Aulich zajął opuszczoną węgierską stolicę, lecz której groziła z cytadeli w Budzie silna pozostawiona tam załoga austryacka z potężną artylerią walową.

Tak rzeczy stały w Węgrzech w środku kwietnia 1849 roku. Dzienniki austryackie osłaniały jak mogły postępy Węgrów, a przez nie tylko mieliśmy w Paryżu wiadomości z teatru wojny, ale przyszła chwila, że już ludzie publiczności dłużej nie mogły. Książę Windischgrätz, ów generał, który stłumił był rewolucję w Pradze, a następnie groźniejszą jeszcze rewolucję w Wiedniu i przez to ocalił monarchię, złożony został z naczelnego dowództwa nad armią i zastąpionym przez generała Weldena. To dało

¹⁾ Zob. str. 235.

miarę klęsk, poniesionych przez Austryaków w ciągu dwóch tygodni.

Zachodziło pytanie, czy te powodzenia Węgrów posłużyć mogą naszej sprawie. Wiedząc, że Dembiński już nie jest na czele wojska, miałem w tym względzie wielką wątpliwość, bo Dembiński był w oczach moich jedyną rękojmą solidarności między Węgrami a Polakami; usposobienie nieprzychylnie Görögöja i innych generałów węgierskich było mi aż nadto dobrze znane, a obawiałem się, że oni opanują umysł Kossutha i krew polska przelewać się będzie na węgierskich polach bez użytku dla sprawy ojczystej. Dręczyła mnie ta myśl, bo i los tylu dzielnych młodzieńców, walczących w Węgrzech, jak najżywiej mnie obchodził i sam rzuciłem był cały byt mój na grę w tej sprawie. W tym czasie, długo oczekiwany Mierosławski przyjechał do Wersalu, co mi przyniosło, wyznając to szczerze, wielką otuchę.

Wiadomo już czytelnikom, że Kossuth miał wysokie wyobrażenie o jego talentach wojskowych, niemniej jak o jego politycznych ideach, i że mi polecił dolożyć wszelkich starań, aby go do Węgier ściągnąć. Wprawdzie Mierosławski był wielkim hetmanem tylko w oczach demokratów—byłem jednak świadkiem, że się nauce strategii oddawał od lat niemal dziecinnych—czytałem jego obszerne dzieło o wojnie 1831 r. i wnosilem, że jeżeli sam armią dowodzić nie był w stanie, to przynajmniej dobrze radziłby potrafił, mając potrzebne po temu stanowisko bądź w sztabie głównym węgierskim, bądź przy *boku Kossutha*; przytem przyznawano mu prawie

powszechnie łatwą, płynną, przekonywającą wymowę i dar ujmowania sobie ludzi, kiedy tego chciał.

Mickiewicz pisze o nim w jednym ze swoich listów, kiedy jeszcze Mierosławski był mało znanym, że ma słabość do niego ¹⁾. Podobną słabość do niego miał St. Marc Girardin, słynny profesor Sorbony i wielu innych ludzi wyższych, którym przypodobać się nie było łatwo. Sądziłem więc, że jeżeli zdecyduje się wybrać do Węgier, to prawdopodobnie przeważą wpływ generałów i ministrów węgierskich na Kossutha i potrafi dać wojnie takie rozmiary, aby sprawę polską mógł stanowczo w nią objąć. Ta idea tkwiła dosyć długo w mojej głowie; nim opowiem na czem się skończyła, skreślę w krótkości przeszłość tego człowieka, który w chwili, do której zaszedłem w mojem opowiadaniu, był bohaterem naszej młodzieży i głośnym w całej Europie.

¹⁾ Oto co pisze o nim Mickiewicz do Bohdana Zaleskiego w 1839 r. (Koresp. Mickiewicza, t. I, str. 144):

„Ale, ale mam być u ciebie jutro, we czwartek, a pewnie w piątek. Przybędę statkiem parowym; Goszczyński też pewno jedzie ze mną; biorę też z sobą Mazura Mierosławskiego, który bardzo chce ciebie poznać. Ja mam do niego słabość... My już pokwaśniali, ten Mazur nam się przyda, bo jest okropny gawęda; tylko boję się, żebyś ty na niego nie krzywił się. Jeżeli nie zechcesz przed nim czytać, to go wyprowadzę, już to sobie z góry zamówiłem. Możeby nie źle i jemu co przeczytać, ażeby na Mazura tchnąć lepszym wiatrem poetyckim; inaczej... (nie kończy frazesu)”.

XVI.

Ludwik Mierosławski, syn adjutanta Davousta, którego pamiętam przy schyłku Konstanyńowskich czasów pułkownikiem weteranów czynnych, urodził się we Francji w 1812 r., z matki Francuzki. Po upadku Napoleona przybył z rodzicami do kraju, następnie pobierał nauki w korpusie kadetów w Kaliszu, gdzie byłem z nim razem lat cztery. W ostatnim roku, nie wiem już jaki przypadek zbliżył mnie do niego i pomimo różnicy wieku, bo on miał lat 18, gdy ja nie miałem jeszcze 15, żyliśmy w przyjaźni, to jest chodziliśmy razem, gdyż w tej szkole wojskowej, trzymanej w całym rygorze Konstanyńowskiej karności, jedyną rozrywką naszą, w rzadkich chwilach wolnych, było chodzić wkółko, grupami po dwóch, trzech, czterech, po dwóch smutnych dziedzińcach, pod dozorem służbowych oficerów i podoficerów wysłużonych, których nam przysyłano. Widzę jeszcze w pamięci te dziedzińce

i dreszcz mnie przejmuję, gdy sobie przypominam owe godziny młodzieńczego wieku, któreśmy w nich przedeptali. Pierwszy z nich był zupełnym prawie czworobokiem, którego bok jeden stanowił kościół niegdyś Jezuitów, dany ewangelikom za pruskich czasów. Do niego przystawiony był domek dla jednego oficera, a trzy inne boki tworzył gmach nasz, niegdyś klasztor Jezuitów¹⁾, wysoki, poważny, ponury. W jednym skrzydle były arkady, pod-które-
mi przechodziło się do kaplicy, sali fechtunku i dwóch kóz, ciemnej i widnej. Między tem skrzydłem a kościołem było przejście, jakby szeroka cieśnina—z owego pierwszego dziedzińca, którego słońce nigdy nie ogrzewało i którego wszystkie kamienie i cegły w bruku dziśbym jeszcze wyliczył—do drugiego dziedzińca, gdzie się odbywały nasze musztry, manewry i parady; ten był trochę weselszy; zdobił go ładny pawilon, w którym na dole było mieszkanie naszego generała, na piętrze zaś pokoje dla Wielkiego Księcia, gdy raczył do nas zawitać, a czynił nam ten zaszczyt przynajmniej raz na rok. Dalej był ogród nasz w dole; trzeba było do niego po kilkunastu schodach zstępować; wpuszczano nas tam tylko w piękne dni letnie, ażebyśmy patrzyli zdaleka na drzewa pełne owoców, których nam nigdy prawie nie udzielano; były one dla generała i oficerów. Za ogrodem nad Prosną był cienisty park miasta, którego wspaniałe lipy i dęby, przenoszące ogromnie skromne jabłonie i grusze naszego ogro-

¹⁾ Korpus kadetów w Kaliszu ufundowany był przez rząd pruski.

du, stanowiły w tej stronie, w lecie, zieloną kra-
wędz naszego widnokregu.

Po tych więc dziedzińcach, czasami w tym ogrodzie, czasami także na okopanem błoniu za Proszą, które jeszcze do zakładu naszego należało i przeznaczone było głównie na wielkie manewry, przechadzałem się podczas rekreacyi w roku szkolnym 1829 na 1830 z Mierosławskim i Szwajcerem, bratem belwederczyka, wraz z 224 kolegami, rozdzielonymi na nie wiem wiele grup. Każdy z nas trzech miał w tych wolnych chwilach umysł w inną stronę zwrócony; żadnemu wprawdzie nie przychodziło na myśl szukać przyszłości na innej drodze, jak w zawodzie wojskowym; byliśmy do tego zawodu nieodwołalnie przeznaczeni i zresztą wszyscy w korpusie kadetów — z małym bardzo wyjątkiem synowie żołnierzy — nawykliśmy byli od lat najmłodszych uważać go za jeden tylko na świecie zaszczytny i godzien ludzi z sercem, lecz pod tym mundurem wojskowym, z którym byliśmy skutkiem wychowania tak zrośnięci, że nie jeden byłby się powiesił, gdyby mu powiedziano, że będzie kiedyś chodził w surducie cywilusa, przebijały najrozmaitsze usposobienia naturalne. Między nami trzema Szwajcar kochał się w poezyi, czuł, rozumiał i nam dwom drugim dawał poznać piękności utworów przedwallenrodowskich Mickiewicza. Ja, po przeczytaniu 4-go tomu „Pism rozmaitych“ Jana Śniadeckiego, które wraz z dziełami Krasickiego były w kurs między nami puszczone, zasmakowałem w psychologii—gwałtem chciało mi się wiedzieć, *co to jest dusza ludzka*. Mierosławskiego zajmowały

już od lat paru same tylko dzieła wojskowe; obfitowała w nie biblioteka nasza, ale trzeba było wielkich zachodów i wielkich protekcyi, ażeby je do przeczytania uzyskać. Mierosławski otrzymywał przez protekcyę jednego z naszych profesorów wojskowych najważniejsze z nich, jako to: dzieło zbiorowe i klasyczne naówczas „*Victoires et conquêtes de l'armée française pendant la république et l'Empire*“, „Strategię arcyksięcia Karola“, „Opisy wojen Fryderyka II i księcia Eugeniusza“, a, co najdziwniejsza, pożyczono mu krążące w tajemnicy między oficerami, litografowane dzieło Prądzyńskiego pod tytułem „Strategia“, bez nazwiska autora. Był to wprost plan wyrozumowany powstania w Polsce i wojny przeciw Rosyi, który i ja, z łaski Mierosławskiego, przeczytałem i wryłem je sobie w pamięć. Prądzyński nauczał w niem jak formować kadry, nowe pulki zdolne w krótkim czasie iść na linię bojową, rezerwy i magazyny; dalej w treściwych zarysach kreślił geografję militarną Polski, czyli geografję uważaną jako szachownicę wojenną. Wskazywał jako punkt, od zajęcia, którego podług jego rozumowań los wojny zależał, źródła Prypeci. Mierosławski wiele z tego dzieła wyciągnął, ażeby sobie wyrobić kryterjum do sądzenia działań wojennych w 1831 r.

Ale to czytanie tak cheiwe dzieł, traktujących o wysokiej strategii, odrywało go od nauk najpotrzebniejszych wojskowemu, które stanowiły podstawę edukacyi w korpusie kadetów, to jest od matematyki, fortyfikacyi polowej i artyleryi. Był on zawsze uczniem miernym, żadnej nagrody nigdy nie

otrzymał, i po skończeniu naszych czterech klas ¹⁾ w lipcu 1830 nie był wybrany do szkoły aplikacyjnej, tej pepiniery wyższych oficerów, ale wyszedł jako podoficer do liniowego pułku. Marzył on jednak już na ławkach szkolnych, że będzie kiedyś wielkim hetmanem, nowym Napoleonem, „który błędów pierwszego nie popelni“, jak to później słyszałem go mówiącego, lecz budował gmach swojej przyszłej wielkości zaczynając od dachu. Chciał dowodzić armiami, a nie był w stanie dobrze dowodzić plutonem na mustrze lub manewrach; regulaminu wcale nie znał, bo go w korpusie kadetów, nie wiem dlaczego, nie wykładano, a zdaje się, że nawet później nie miał cierpliwości go się wyuczyć; żadnego szanica usypaćby nie potrafił, a wszystko co się odnosi do artylerji, tej broni tak ważnej w dzisiejszych wojnach, było mu prawie obce. Co więcej, nie miał w sobie nic, co odznacza zwykle natury wojskowe; nietylko, że nie lubił nauk ścisłych, ćwiczeń ciała, szczegółów służby wojskowej i zgoła wszystkiego, w czem upodobanie znajdują wojskowi z powołania, ale czynność, karność, porządek były wprost przeciwne jego naturze. Około niego samego było zawsze dosyć nieporządnie i koledzy naśmiewali się z niego z tego względu. W charak-

¹⁾ Właściwie było ich sześć. Dla tych, którzy przychodzili niedostatecznie przysposobieni do pierwszej, była przygotowawcza czyli podpierwsza—dla tych zaś, którzy z czwartej nie wychodzili do szkoły aplikacyjnej, a byli zbyt młodzi, *żeby iść do pułków*, była druga sekcya czwartej klasy z wyższemi naukami, czyli rzeczywiście szósta klasa.

terze jego była dziwna mieszanina, — był tam pierwiastek francuski i pierwiastek polski, które się równoważyły tak, że ani typ francuski ani typ polski w nim się zupełnie nie wyrobił. Płonącego patriotyzmu polskiego nigdy nie miał, przytłumiał go pociąg francuski do lekkomyślnego szyderstwa ze wszystkiego. Umysł jego był bardzo pojętny, bystry, wyrażający się z wielką łatwością, skory do odpowiedzi dowcipnych, lecz nienawidzący pracy — lubiący tylko bujać po szczytach rzeczy na zbudowanych przez siebie balonach; przytem skłonny do przechwałek, do bonimentów, do blagi, wszakże bez żywości, lekkości, wesolości francuskiej, która tej blageryi służy za wymówkę. Ambicyę miał kolosalną, zarozumiałość bez granic, a żadnej energii, nie nawet coby zapowiadało w nim rycerską odwagę. Nie wywierał też żadnego wpływu na kolegów, coby trudno wytłumaczyć, gdyby to był rzeczywiście charakter wyższy, stworzony do przewodzenia drugim. My, którzyśmy najściślej z nim żyli, lubiliśmy go dla jego łagodności, delikatności w obejściu, rozmowności i znajomości strategicznych, któremi nam imponował, opowiadając nam w sposób nader jasny i z pewnym artyzmem obroty wojenne wielkich wodzów. Pamiętam jak raz słowem jednym zbił z tropu szowinizm Szwajcara, który utrzymywał *mordicus*, że to Kniaziewicz zwyciężył pod Hohenlinden. Mierosławski, nie mogąc go przekonać, że tak nie było, zawołał w końcu: „Dobrze, więc Moreau dowodził, a Kniaziewicz zwyciężył“ i tem usta zamknął swojemu przeciwnikowi. Ale i nas iraził ciekawo zarozumiałością swoją, posuniętą aż do śmiechu.

ności, a więcej jeszcze napadami wyuzdanego cynizmu, które zdawały się być w sprzeczności z jego ustrojem zwyczajnym, były to echa z ojczyzny Rabelego, Pirona, Woltera, ale brzmiały jak fałszywy ton wśród naszych rozmów, ożywionych czystym młodzieńczym zapalem do rzeczy wzniosłych.

Zarozumiałość jego była taka, że się ośmielił raz wystąpić przed cesarzem Mikołajem z projektem dziecinnym. Mikołaj, wracając z Berlina do Warszawy na sejm w 1830 r., raczył być wstąpić do nas. Czekali już na niego w naszym zakładzie wieley księżęta Konstanty i Michał, i wszyscy po odbytym przeglądzie zasiedli z nami do obiadu w wielkiej sali sklepionej, która niegdyś służyła Jezuitom za refektarz. Stołów tam było kilkanaście, cesarz zajął miejsce przy jednym z nich, w samym środku i szczególnie traf zrządził, że miał za sąsiada Mierosławskiego. W czasie obiadu zadał mu kilka pytań — nie wiem już w jakim języku — między innymi spytał go, co robimy w chwilach wolnych. Mierosławski, który mówił po francusku, jak rodowity Francuz, odpowiedział mu w tym języku, że chodzimy wkołko i nie więcej — lecz, korzystając ze sposobności rozwinął przed nim *ex abrupto* projekt jakiejś gry wojennej, którą miał dawno w swojej głowie, a później jeszcze i we Francyi z nią występował. Mikołaj słuchał jednym uchem, i gdy Mierosławski skończył, przed samym końcem skromnego naszego obiadu, J. C. Mość bąkał sobie pod nosem: „mleko“; chciał bowiem, żebyśmy mleko jedli na śniadanie w dodatku do chleba z masłem, który nam dawano, i „gry wojenne“ — ale zapewne

ani wiedział, co to za gry być miały. Po obiedzie otoczyliśmy gromadnie Mierosławskiego, ażeby się dowiedzieć, o czem tak długo prawił z cesarzem. Rozezarowanie było wielkie, gdy nam powiedział, że chodziło tylko o gry wojenne.—„Miałeś też nad czem się rozwodzić“ — odzywano się ze wszystkich stron;— „kiedy ci już pozwolił gadać, to trzeba było przynajmniej powiedzieć mu, że my jedni z kadetów świata całego wychodzimy na podoficerów, a nie oficerów“.

Dodam jeszcze jeden szczegół, charakteryzujący przyszłego hetmana demokratów. Kadetem, młodzieniaszkiem, 18-letnim już spiskował, czując zapewne instynktowo, że tylko na podziemnych drogach spiskowania może dojść do tej władzy hetmańskiej, o której marzył, ale plan jego bardzo skomplikowany i w Wallenrodowskim rodzaju, lubo Wallenrod nie był nam jeszcze znany, wcale nam nie przypadł. Cheiał on, żeby część nas jedna weszła do rosyjskiego wojska i zawiązała na nowo nie zerwaną 1825 roku. Owóż wszyscy prawie, zacząwszy od dorosłych aż do malców, gdyby nas kto dobrze zagrzał, bylibyśmy poszli na Belweder, ale przywdziać mundur rosyjski i wypełniać między Rosyanami apostołstwo rewolucyjne—na to heroizm nasz nie mógłby się zdobyć.

Mierosławski wyszedł, jak już nadmienilem, w końcu lipca 1830 roku na podoficera do jednego z liniowych pułków, zdaje mi się 5-go, i po wojnie 1831 roku, w której nie dobił się i dobić nie mógł wyższej rangi jak podporucznika czy porucznika, wyszedł za granicę z wojskiem i przybył do Fran-

eyi ze starym ojcem, bratem młodszym, Adamem i z jedną z sióstr swoich. Na wychodźstwie najprzód odezwała się w nim ta struna cyniczna, która nas tak zrażała w korpusie kadetów. Napisał i wydrukował — zdaje mi się jeszcze w zakładzie w Besançon—obrzydłe wierszydła „Szuja i Czarna Maryna“. Jeżeli chciał sobie tem zyskać popularność między wychodźcami, to się bardzo zawiódł. Wkrótce potem rozpoczął szereg prac o wojnie 1831 r. W 1835 r. wydał: *Tableau de la première époque de la révolution de Pologne* — w 1836 roku obszerniejsze dzieło jeszcze we francuskim języku: *Histoire de la révolution de Pologne*, a następnie nagromadziwszy ogromną masę materyałów, których część dostarczył mu podobno Prądziński, zaczął swoją wielką pracę w ojczystym języku, która miała być wrzekomo dalszym ciągiem „Powstania narodu polskiego przez M. Mochnackiego“ i wyszła pod tymże samym tytułem—ale autor zapowiada z góry, że nie zgadza się z zapatrywaniami Mochnackiego w 2-m tomie jego dzieła. Mierosławski był już wtenczas pod sztandarem demokracji i zmierzał do tego, ażeby ten sztander wrękę swoją ująć, a za mecenasa miał, smutnej pamięci, Jana Ledóchowskiego, który pracę jego swoim nakładem wydał w 1845 roku.—Jest to dzieło rozwlekłe, teńjące namiętnością stroniczą, nacechowane spotęgowaną już do najwyższego stopnia zarozumiałością autora. Stawia się on jak mistrz w sztuce wojennej—z sądem nieomylnym—co krok wytyka błędy *generalów i wskazuje, co robić im należało, a częstokroć między jedną a drugą stronicą są sprzecz-*

ności takie, że co było błędem na jednej, pokazuje się ruchem usprawiedliwionym na drugiej. Styl jego to się podnosi do tonu eposu, to spada w trywialność. Jednak zaprzeczyć nie można, że są w temże dziele obrazy wspaniałe; takim jest geografia militarna Polski i takimi są niektóre opisy wielkich bitew — widać w nich wszystkie ruchy dwóch armii wrogich jak na dłoni, słycać całą wrzawę bitwy, czuć proch, a zapal walczących odbija się w stylu pisarza. Nic więcej porywającego np. jak opis bitwy pod Grochowem 25 lutego, mianowicie chwili stanowczej, gdy dzielne pułki nasze wyparły nieprzyjaciela z Olszyny. Prądyński „w uniesieniu artysty“ woła na grenadyerów: „Dzieci! jeszcze sto kroków naprzód, a te działa wasze“, a Chłopicki odpowiada: — jak doświadczenie odpowiada poezji „niechaj przybywają natychmiast rezerwy“! — Autor przytacza dla wytłomaczenia tego rozkazu prawidło, „że w bitwach równoległych ta sama masa nie może przesięgać pewnego zamachu i iść dalej, niż ją rzucił pierwotny impuls“ — i wyciąga z tego prawidła wniosek: „Trzeba było, że tak się wysłowię, ażeby siekiera dokonała tego, co klin rozpoczął“. Ale w pobliżu nie było innych rezerw jak część rozstrzelonego korpusu jazdy Łubieńskiego, a adiutanci Chłopickiego daremnie przybiegają do niego jeden po drugim, nakazują, proszą, błagają, żeby z czem ma, biegł do Olszyny — Łubieński pod różnemi pozorami odmawia — w końcu, przyparty przez adiutantów, powiada, że Chłopicki dla niego jest niezem, że nie ruszy bez rozkazu na piśmie od Radziwiłła.

Teraz niech mi wolno będzie przytoczyć dosłownie dwa ustępy z opisu Mierosławskiego prawdziwie dramatyczne. „Znowuż tedy i prędzej, niż kolumny Chłopickiego i Skrzyneckiego zdołały rozpatrzeć się w swoim gorączkowym zapędzie, przeszło czterdzieści batalionów rosyjskich, jedno rozbite, drugie w kupkach tyralierskich, wiele oznajmujących się tylko przytomnością chorągwi, ale wszystkie zajmujące przestrzeń i szelunnie powiązane ogniwami ciągłej kanonady, powtórna niejako rozpoczynają bitwę z wyżyn na równinę, z zakrytego obwodu do naszego środka. Przez pół godziny grenadyery i 4 ty pułk, stanowiące czoła kolumn Chłopickiego i Skrzyneckiego, wytrzymują pod Olszyną ulewę kul, granatów, kartaczów, ognie plutonów, ognie rot, ognie tłumów całych, na które regulamin nie wyszukał nazwiska — wszystko to w pragnieniu i pewności doczekania się zapowiadanej rezerwy. Chłopicki obiega bojowisko na wszystkie strony, wyglądając jazdy Łubieńskiego; dwa konie pod nim ubito; sam w nogę postrzelony kartaczem, płaszczy jego popruty od kul karabinowych. Za nim, przed nim, wkoło niego giną szeregami całymi — szefowie batalionów grenadyerskich i strzeleckich zapadli się prawie wszyscy w ziemię, — a rezerwy jeszcze nie widać“. Tu następuje opis postępów wojska nieprzyjacielskiego. Koniec zaś całego tego epizodu bitwy jest skreślony w ten sposób: „Bój cofnął się z równiny międzyleśnej i wrę gwałtownym odwrotem po Olszynie. Milberg i Skrzynecki, parci przez *wszystkie rezerwy rosyjskie, cofnęli się za rów naczelną i zaledwie trzymają się za wewnętrznym. Już*

weterany, 8-my i 20-ty liniowy wybiegają na pole Wielkiego, a 2 ga brygada strzelecka na pole Małego Grochowa. Grenadyery częścią garną się do 4-go pułku w Olszynie, częścią znów ustępują po drodze Okuniewskiej. Chłopieki bieży w tył z pod słupa żelaznego, muiej, ażeby wstrzymać odwrót Skrzyneckiego i Milberga, jak, żeby w odpustnej śmierci znaleźć schronienie przed okropnościami przewidzianej klęski. Zwycięzał jako wódz — umrzeć chce jako prosty żołnierz. Po drodze żadnego nie wydaje rozkazu; wymyka się swoim adjutantem; z obojętnością przelatuje bataliony Rolanda, na daremnie oczekujące jakiego przeznaczenia. Jak miał baterie prawego skrzydła, granat pękł pod brzuchem jego konia i samego powalił o ziemię poszarpany mu obie nogi. Adjutanci zbiegli się około niego i niesionego na kosach odprowadzili na Pragę⁴⁾.

Podobnych obrazów jest kilka w dziele Mierosławskiego. Poglądy jego w głównych punktach oparte są na zasadach ścisłych jak formuły algebraiczne i przeciwstawione planom i działaniom generalów, a ogrom nagromadzonych przez niego szczegółów malowniczych lub charakterystycznych jest prawdziwie zadziwiający. Nie więc dziwnego że dzieło jego niezmiernie wrażenie sprawiło w emigracyi i zrobiło złudzenie, zwłaszcza między młodszymi emigrantami, że autor stworzony jest na wielkiego wodza. Mnszę tu, uprzedzając dalsze opowia-

4) Powstanie narodu polskiego, str. 288, 291 i 292.

dania moje, przytoczyć zdanie, jakie mi o nim powiedział Heltman. Siedzieliśmy, dwóch nas tylko, na trawniku w pięknym, ale w owej chwili pustym zupełnie parku w Bad-Badenie. Odezwałem się do Heltmana: Jest tu nas dwóch tylko w tym niemieckim zakątku i Bóg trzeci z nami—powiedz mi więc szczerze, z ręką na sercu, co myślisz o Mierosławskim? Heltman odpowiedział mi: — „Kładę rękę na sercu i daję ci święte słowo honoru, że Mierosławski jest podług mnie najpierwszym dziś generałem w Europie“. Takie wyobrażenie o nim miała cała demokracja, a na czele jej centralizacja. Po wyjściu dzieła Mierosławskiego, ci przywódcy demokracji powiedzieli sobie z wewnętrznym tryumfem: „Otóż mamy na koniec hetmana do kierowania za mierzonem powstaniem“ i jednogłośnie zamianowali go takim hetmanem. Szczególną jakąś łaską losu—został schwyty, uwięziony, sądzony, skazany na śmierć—ażeby być uwolnionym i w tryumfie niesionym przez lud berliński. W ciągu tych wypadków złudna jego sława rosła ciągle; obrona, jaką w swojej sprawie wypowiedział po francusku przed sądem, przejęła entuzjazmem dla niego całe Niemcy, a odwaga prawdziwa czy udana, jaką okazał, przyjmując bez żadnego odwołania się do łaski królewskiej wyrok skazujący go na śmierć, podniosła popularność jego między demokracją nie tylko niemiecką, ale wogóle europejską do najwyższego stopnia. Stał się chwilowo jej bohaterem. Dowodzi tego tryumf jego w Berlinie, a następnie ta ufność, z jaką powoływano go wszędzie, gdzie tylko wybuchła rewolucja — w Sycylii, w Węgrzech, w Ba-

deńskim. Ale od chwili, gdy z dziedziny pióra i słowa przeszedł na pole czynów, zaczyna się jego upadek. W Wielkiem Księstwie Poznańskiem znalazł się jak student chępliwy, junacki, nierozważny i zwichnął sprawę polską, którą niespodziewane wypadki wprowadziły były na tak pomyslny tor; w Sycylii odegrał rolę Don Kiszota, a wojna badenśka strąciła go ostatecznie z tego piedestału, na którym go złudzona wyobraźnia demokratów postawiła.

Złudzeń tych nie podzielałem nigdy. Wprawdzie, nie raz słysząc tyle o nim, pomyślałem sobie, że może w ciągu wojny, a następnie w emigracji nabrał tych wiadomości poziomych, drobiazgowych, ale fundamentalnych w sztuce wojennej, na których mu zbywało, i że czas, okoliczności, doświadczenie wyrobiły w nim więcej mężkości, energii, decyzji i wszelkich zgola cnót wojskowych, niżeli ich zapowiadał w pierwszej młodości—ale gdym się więcej zastanawiał i przypominał sobie dobrze naturę jego umysłu i głównejsze rysy jego charakteru, przypuszczenie to zupełnie się rozprasało. Zresztą śmieszne jego wynalazki wojenne: kozły dla zasłaniania wrzekomo piechoty przed szarżami jazdy i barykady na kółkach na użytek tyralierów, któremi się zajmował jeszcze w 1848 r., dowodziły, że jedna strona jego umysłu została była blahą i dziecinną. Kozły te i barykady przypominały owe gry wojenne, któremi się zaprzętał w korpusie kadetów i uważał za tak ważne, że ośmielił się cesarzowi o nich mówić. Pomimo tego miałem przekonanie i trwam w niem dotąd, że w sztabie głównym

np. jako podszef sztabu, radziłoby dobrze potrafił, i że na Kossutha przeważnieby mógł być wpływać, gdyby się do tego wziął zrzęcznie, jak to już mówiłem wyżej. Dlatego to pragnąłem bardzo nakłonić go do życzeń Kossutha i dowiedziawszy się o jego przyjeździe od młodszego brata jego, Adama, także niegdyś kolegi mojego w korpusie kadetów, wtenczas kapitana w marynarce kupieckiej¹⁾, który przybywszy z Ludwikiem z Sycylii przyszedł niebawem mnie odwiedzić, wybrałem się nazajutrz do Wersalu.

Mieroślowski mieszkał u jakiejś rodziny francuskiej, zaprzyjaźnionej z nim oddawna, czy też nawet spokrewnionej przez matkę. Urządzono mu mieszkanie na poddaszu i z francuskim gustem dekoracyjnym zużytkowano pochyłość sufitu, ażeby dać podobieństwo namiotu skromnej izdebce, która mu służyła zarazem za sypialnię i za salonik. Mieroślowski przyjął mnie jak dawny kolega, szczerze i serdecznie. Mamże dlatego rzucić pióro i zataić cośmy mówili między sobą, a następnie i fakty, których byłem świadkiem? Wstrzymywał mnie ten skrupuł lat trzydzieści, lubo po wypadkach badeńskich

¹⁾ Był to republikanin najczernerwszy i wielki zawa-
dyka. Raz byłem z nim w teatrze le Vaudeville na przed-
stawieniu sztuki jakiejś antyrepublikańskiej; zaczął sam jeden
gwizdać—publiczność krzyczała „za drzwi!“ — on w odpowie-
dzi rzucił czapkę swoją marynarską na publiczność, wymyśla-
jąc jej od ostatnich słów; nareszcie policya go wyrzuciła za
*drzwi. W kilka lat po wypadkach, które opisuję, zo stał zabity
na morzu przez swoich majtków.*

zerwałem był zupełnie z Mierosławskim. Dziś przeszłość ta weszła w dziedzinę historyi i służyć może dla nauki nowych pokoleń—godzina więc podobnych skrupułów minęła, a dla pisarzy, którzy z bliska patrzali na wypadki ówczesne i ludzi grających w nich ważne role, świadczyć o nich podług sumienia jest niewątpliwie obowiązkiem wyższym nad wszelkie względy, wypływające z dawnych związków koleżeńskich — *Amicus Plato sed magis amica veritas.* Opowiem też bardzo krótko, ale wiernie, pierwszą rozmowę, jaką miałem z owym dawnym kolegą, tak głośnym wówczas na świecie.

Po chwili, poświęconej wspólnym naszym wspomnieniom, gdyśmy przeszli do okoliczności świeższych, spostrzegłem wnet, że Mierosławski w tem się tylko zmienił od czasów kadeckich, że dawna jego zarozumiałość i próżność wzrosły do kolosalnych rozmiarów. W korpusie kadetów był to wielki człowiek w zarodzie, w Wersalu był to już wielki człowiek w całej pełni swojego geniuszu, był duszą demokracji i jej mieczem — to jest za takiego się miał. — „Centralizacya — mówił mi — służyła mi za piedestał, a dziś centralizacyą jestem ja — obracam tymi ludźmi jak lalkami i żaden z nich nie śmie w czemkolwiek mi się sprzeciwić“. Mówił poczęści prawdę i ta pycha miała ton dosyć imponujący, ale efekt jej psuł jego mundur generała sycylijskiego, cały złotem szamerowany, rozpięty na krześle i czapka generalska, także sownicie złotem galonowana, położona na stole. Były to okazy próżności studenckiej, boć przecie tego stroju nie myślał włożyć na siebie w Wersalu i o to mu tyl-

ko chodziło, ażeby go wszyscy widzieli, którzy przychodzą do niego.

Przystąpiłem do zlecenia, jakie mi dał Kossuth, lecz po pierwszych słowach moich odezwał się: — „Ale cóż ja tam mam robić, kiedy tam już jest Dembiński?” — Dembiński — odrzekłem — był tam wezwany na wodza naczelnego, jako generał chlubnie już znany z 1831 r., jednak na tem stanowisku utrzymać się nie mógł dlatego, że jest obcym. Nie jest to więc dla cudzoziemca władza tak bardzo do pożądaną; Kossuth otwiera ci drogę skromniejszą, ale pewniejszą: ofiaruje ci rangę pułkownika w sztabie głównym z upewnieniem, że postąpisz wyżej—na szefa sztabu prawdopodobnie—jak tylko pokażesz swoje zdolności. — Mierosławski wstrząsnął ramionami. — Jakże chcesz — odrzekł—żebym przyjął rangę pułkownika w Węgrzech, gdzie się przedzierac muszę przez największe trudności, kiedy mnie Badeńczycy tuż za Renem wzywają z entuzjazmem na wodza naczelnego, a wojsko badeńskie warte węgierskiego, bo jest tam 10,000 starego żołnierza, 60 armat i 20,000 ruchawki.

— Lecz w Węgrzech—rzekłem — jest cel państwotyczny i najmniej 2,000 Polaków pod narodową chorągwią.

— Mają oni Bema, Dembińskiego — odparł Mierosławski — niech ich prowadzą. Mnie ci dwaj wieley ludzie do niczego by w Węgrzech nie dopuścili.

Skorzystałem ze wzmianki o Dembińskim, żeby go spytać, jak mógł powiedzieć o nim, że wyszedł z Warszawy jak zdrajca...

— Złe mnie zrozumiał Dembiński!—wykrzyknął Mierosławski — ja nikogo ani w polskich, ani we francuskich moich pismach nie nazwałem zdrajcą, nawet Krukowieckiego, nawet Łubieńskiego. Frazesu o Dembińskim nie dałem jako moje zdanie, lecz jako sposób widzenia stronnictwa ruehu i czynu w Warszawie. Powiedziałem „w francuskiej historii powstania“, że w oczach tego stronnictwa Dembiński wszedł do Warszawy jak zbawca, a wyszedł z niej jak zdrajca, ale nie dałem żadnego pozorów do przypuszczenia, że i ja tak samo myślę.

— Słuchaj więc Ludwiku—rzekłem—skoro ten wyraz zdrajca, który tak głęboko zranił starego Dembińskiego, nie wyszedł z twojego przekonania, sprawiedliwość i uczciwość wymagają, żebyś przy pierwszej sposobności zadeklarował to publicznie; Dembiński zaś kazał mi powiedzieć przez Barzykowskiego (właściwie powiedział mi to tylko Barzykowski), że jak odwołasz lub sprostujesz ten obelżywy frazes, gotów jest resztę puścić w niepamięć, a jeżeli udasz się do Węgier, to ci objęcia swoje otworzy.

— Ale mnie się ani śni—odrzekł —jechać do Węgier.

— Wolisz więc hetmanic Sycylińczykom lub Badeńczykom—odezwałem się trochę gorzko.—Pozwól mi jako staremu koledze powiedzieć ci, Ludwiku, że stanowisko, jakie zająć zamierzasz, wodza kosmopolitycznego wszelkich bezwzględnie rewolucyjni, nie może ci sławy przyczynić. Dziwnie to nawet wydawać się będzie, że Mierosławski, przywód-

ca powstania polskiego w 1846 r., walczy za jedność niemiecką.

— Co mi tam gadasz! — zawołał niecierpliwie Mierosławski — alboż wiesz prawdziwy powód, dla którego włóczę się to do Sycylii, to nad Ren. Ja jeden go wiem; oto, że mi potrzeba koniecznie praktyki wojennego rzemiosła, bo tego mi nie dostaje i ja to czuję. O co zaś chodzi Sycylińczykom, o co chodzi Badeńczykom, to mnie bardzo mało interesuje. Dają mi wojska, żebym niemi dowodził i to dla mnie szkoła—na tem mi dosyć.

Trudno mi było powstrzymać się od uśmiechu, bo mi przypominał Mierosławski młodych i niedoświadczonych chirurgów, którzy się wprawiają do operacyi *in anima vili*.

— Dobrze to jest — rzekłem — tylko podczas gdy będziesz się wprawiał do hetmaństwa na Niemczech, minie chwila arcyważna i może niepowrotna, w której mógłbyś ogromne oddać usługi ojezyźnie i zarobić sobie na piękną, czystą, niezaprzeczoną sławę. Przedstawiłem mu obszernie stan rzeczy w Węgrzech, łączność sprawy węgierskiej z polską, przychylne usposobienie Kossutha dla Polaków w ogólności, dla niego w szczególności, szkodliwy wpływ na niego w obecnej chwili generalów węgierskich, który udałoby mu się—jemu, Mierosławskiemu—zapewne przeważyć, gdyby nad tem popracował; dalej świetne powodzenie Węgrów i prawdopodobieństwo wdania się w tę sprawę Rosyi.

Mierosławski rozprawiał ze mną dosyć długo *nad tem wszystkim*; widocznie walczył sam z sobą, *czy ma hetmaństwo badeńskie poświęcić czy nie?*

Miłość własna jego wzięła górę—to tylko otrzymałem od niego jako ostatnie słowo, że jeżeli wojska rosyjskie wejdą do Węgier, to wtenczas zda dowództwo badeńskie Syblowi i puści się do Węgier jakąkolwiek drogą.

W kilka dni potem, w ciągu których jeszcze parę razy widziałem go w Paryżu i w Wersalu, pojechał do Badeńczyków, ja zaś śledziłem pilnie obroty Węgrów, o których otrzymywaliśmy w Paryżu wiadomości coraz pewniejsze i coraz więcej szczegółowe—Wysocki już mógł nawet przesyłać relacye z teatru wojny do *Gazety Polskiej* w Poznaniu.

Przerwałem krótkie opowiadanie moje o węgierskiej wojnie na wzięciu Wacowa i odwołaniu Windischgrätza. General Welden, który go zastąpił, skoncentrował wszystkie siły, jakimi mógł rozporządzać, a nie wynosiły więcej nad 25,000 wojska podług Bulharyna, na prawym brzegu rzeki Gran. Mosty na tej rzece były popalone, Węgrzy bardzo mało mieli pontonierów i postawienie nowych mostów wiele im czasu zajęło. Dnia 18 kwietnia nakoniec trzy korpusy węgierskie przeszły rzekę Gran; dwa z nich, to jest korpusy Klapki i Damianicza, uderzyły 19-go na armię Weldena pod Nowym Sarlo i rozbiły ją, a generał Gaspari, który z trzecim korpusem przeszedł rzekę poniżej, zastąpił uciekającym drogę i dokonał zupełnego zwycięstwa; niedobitki jednak zdołały ująć przez most pod Granem, na prawy brzeg Dunaju i, nie zatrzymując się dla spalenia mostu za sobą, biegły w nieładzie dalej. Nie oparli się aż pod Raab. Austrya-

cy stracili pod Nowym Sarlo 2,000 ludzi w zabitych, 6,000 zaś wzięto w niewolę ¹⁾. W tej bitwie Wysocki dowodził dywizją, a Polacy, jak zwykle, walczyli jak bohaterzy. Görgöi nie ścigał Weldena, co mu Bulharyn za błąd poczytuje, ale poszedł na odsiecz twierdzy Komorn, obleganej przez Austryaków. Mieli oni w posiadaniu swoim wzgórze na prawym brzegu Dunaju, zwane Piaskową górą, panujące nad szanłem przedmostowym Komorna, ale mostu na Dunaju nie było; Görgöi musiał go postawić pod ogniem nieprzyjaciela — przeszedł ten most 26 kwietnia, zdobył Piaskową górę i lasek, w którym Austriacy mieli wszystkie narzędzia oblężnicze, lecz wtem zjawił się nagle nowy nieprzyjaciel. Był to generał Schlick, który, cofając się z Pesztu, trafił na bitwę pod Komornem i uderzył na prawe skrzydło armii węgierskiej. Bitwa rozpoczęła się na nowo — skończyła się klęską Schlicka — Austriacy stracili wogóle w tym dniu w poległych i wziętych do niewoli 3,000 ludzi, 10 dział i wszystkie narzędzia oblężnicze z ogromnym zapasem amunicji, a Komorn, w którym była załoga z 10,000 ludzi, został oswobodzony od nieprzyjaciela. Görgöi stanął wtenczas na najwyższym szczytli swojej kariery, lecz okoliczności ogromnie go przerażały. Miał on drogę otwartą do Wiednia, a opanowawszy tę stolicę, miałby być on w ręku los monarchii austriackiej i w następstwie los całej wschodniej Europy. Zdaje się nawet, że ta perspektywa ukazała się na chwilę przed jego oczyma. Po zwy-

¹⁾ *Bulharyn. Rys wojny węgierskiej, str. 239.*

cięstwie pod Komornem ruszył śmiało za Austryakami w kierunku Raab; generał Welden, przerażony, opuścił silną z natury i umocnioną fortyfikacyami pozycyą pod tem miastem, i cofnął się pod Presburg. Tymczasem Görgöi, namyśliwszy się w drodze, wrócił do Komorna, a z Komorna z całą prawie armią swoją z 45,000 ludzi wyruszył ku Budzie prawym brzegiem Dunaju. Buda, jak wiadomo dawna stolica Węgier, wznosi się naprzeciw Pesztu, przedzielona od niego Dunajem. Miasto było w posiadaniu Węgrów, ale załoga austriacka zajmowała starożytną cytadelę zamkową, którą dowodzący w niej generał Hentzy na prędce umocnił był wałem i palisadami. Görgöi stanął pod murami tej cytadeli 5 maja i wezwał generała Hentzy o poddanie się. Generał austriacki odmówił w sposób rycerski i tem ocalił monarchię Habsburgów. Görgöi stracił dwa tygodnie czasu na obleganie tej cytadeli, gdyż musiał sprowadzać działa oblężnicze z Komorna i wystawił miasto Peszt na srogie bombardowanie, w którym pięćdziesiąt najpiękniejszych gmachów spłonęło, a cała ludność wyniosła się była do pobliskiego miasteczka: gdzie największa część musiała obozować pod gołym niebem. Zdobył nakoniec Görgöi cytadelę zamkową 20 maja, znalazł w niej wielkie łupy i zabrał 3,500 niewolników. Obrońca cytadeli, J. Hentzy zginął.—Komitet obrony krajowej, z Kossuthem na czele, wysłał do zwycięzcy deputacyę z orderem węgierskim nowo ustanowionym pierwszej klasy, lecz cały ten tryumf drogo był opłacony. Görgöi wrócił pod Komorn dopiero w końcu maja, *gdy już armia austriacka była wzmocniona posiłka-*

mi z Włoch do 50,000 ludzi—armia węgierska wynosiła wprawdzie 137,000 ludzi z 400 działami¹⁾, ale rozrzucona była na całej przestrzeni Węgier i Görgöi miał znowu tylko 40,000 ludzi pod ręką. Nie było więc z czem iść na Wiedeń, a co gorsza, w ciągu tych czterech tygodni, użytych przez Görgöja na wzięcie Budy jako też na marsze z Komorna pod to miasto i powrót do Komorna, rząd austriacki wszedł był w układy z Rosyą o interwencyą jej w Węgrzech. Na początku czerwca przygotowania armii rosyjskiej w Królestwie Kongresowem do wyprawy na pomoc Austrii były tak widoczne, że wszystkie dzienniki europejskie o tem mówiły. Dla nas, we Francyi, nie była to, przyznać muszę, nowina nieprzyjemna, zwłaszcza, że wiedzieliśmy, iż Dembiński wstąpił na powrót do czynnej służby w Węgrzech, że dowodził korpusem, do którego należał legion polski, i że nalegał na Kossutha i Görgöja, aby mu pozwolili z tym korpusem wejść do Galicyi. *Gazeta Polska* poznańska z 2 maja zawierała pismo Wysockiego, który dawał w tym względzie obszernie wyjaśnienia i powiadał, że jest przeciwnym wkroczeniu korpusu węgierskiego do Galicyi, póki formacya legionu polskiego nie będzie ukończona, ale zapewniał, że tą formacyą czynnie się zajmuje.

Zbliżał się więc kryzys stanowczy w sprawie węgierskiej, która i polską sprawę poruszyć miała. Tymczasem w Badeńskim Mierosławskiemu wcale

¹⁾ *Rys wojny węgierskiej*, str. 246.

się nie wiodło. Z początku pisywał do dziennika *le Siecle* relacye ze swojej kampanii i chęłił się z różnych małych sukcesów, czasem w sposób cyniczny, gdyż ta struna odzywała się na nieszczęście zbyt często u niego, i tak raz zdając rachunek z pieniędzy, które przeszły przez jego ręce na koszt wojenne, i strat jakie zadał Prusakom, dowodził, że sprząta Prusaków za tanie pieniądze — tyle za każdego. Pamiętam, że *Journal des Débats* powstał z oburzeniem na przechwałki tak brutalskie. Pomimo jednak owych głoszonych przez niego sukcesów i ekonomicznego zabijania Prusaków, pokazało się, że się ciągle cota i nakoniec przyszła wiadomość, że został rozbity pod Waghausen. Pomyślałem sobie, że chwila przyszła przypomnieć mu jego przyrzeczenia; zarazem pod wpływem świeżych wypadków w Węgrzech wyklął się w głowie mojej projekt, który zdawał mi się płodnym w rezultaty i podobnym do wykonania. Był następujący:

Między W. Księstwem Badeńskim, a Tyrolem austryackim, po nad brzegami jeziora Boden, (*lac de Costance*) jest najwięcej pięć mil niemieckich przedziału; są to terytorya wirtemburskie i bawarskie; pierwsze przytyka do jeziora klinem nie szerszym nad 4 mile, drugie daleko węższym jeszcze klinem, bo zaledwie na milę jedną szerokim — oba przebyć można jedną nocą marszem forsownym. Owóz myślą moją było nakłonić Mierosławskiego, ażeby, gdy sprawa badeńska już tak prawie jak stracona, wziął ze starego wojska badeńskiego 6 lub 8 tysięcy ochotników, całą artyleryą, jezeli

można, zapasów ile się wzięć da i ruszył z takim korpusikiem przez te dwa kliny do Tyrolu, nie uważając na zgwałcenie prawa narodów i inne dyplomatyczne trudności, które nas mało obchodziły. Co zaś do wojska badeńskiego liczyłem na to, że mu się ten projekt podoba. Bunt to wojska był początkiem rewolucyi francuskiej i żołnierze mogli być pewni, że im to gładko nie ujdzie, jeżeli książę ich wróci do władzy. Nie mieliby przeto nic do stracenia puszczać się na awanturniczą wyprawę do Tyrolu, i w rzeczy samej przekonałem się później naocznie, że byli do wszystkiego gotowi, byle nie wrócić pod panowanie swojego księcia.

Przejęty tą myślą postanowiłem jechać bezzwłocznie w Badeńskie i w razie potrzeby zostać przy Mierosławskim aż do chwili stanowczej, w której nie pozostanie mi inna alternatywa jak wrócić ze wstydem do Francyi—po drugiej, a nawet trzeciej nieudanej donkiszockiej wyprawie—albo ratować swoją sławę, rzucając się zuchwale w góry Tyrolskie na tyły armii austryackiej, ażeby podać rękę Węgrom i Polakom. W razie jednak gdyby mi się nie udało nakłonić go do tego ostatniego planu, a miałem wewnętrzne przekonanie, że mi się nie uda—byłem zdecydowany wrócić sam do Węgier, tylko nie miałem wielkiej ochoty przedzierać się znowu przez kordony pruskie i austryackie, umyśliłem puścić się morzem do Konstantynopola, a stamtąd przez Wołoszczyznę do Temeszwaru. Droga była wprawdzie długa, ale nie wiele zależało nikomu *na tem, czy trochę wcześniej, czy trochę później przyjadę na teatr wojny* — nie przynosząc Węgrom

wysokich zdolności wojskowych, lecz tylko ramię żołnierza.—Droga morska miała dla mnie jeszcze tę korzyść, iż byłem prawie pewnym, że mi rząd piemontcki ułatwi przeprawę, jeżeli się zgłoszę do niego z dobrą rekomendacją. W tym celu udałem się do księcia Adama Czartoryskiego i do Alex. Walewskiego. Jeden i drugi udzielili mi jak najchętniej rekomendacji, Książę Czartoryski do Józefa Sobolewskiego, Alex. Walewski do posła francuskiego w Turynie, pana Bois le Comte. Ani jednemu ani drugiemu nie wyjawilem mojego awanturniczego planu, bo o takich planach mówić można tylko po skutku pomyślnym — inaczej wydają się szaleństwem. Uważałem jednak, że książę Czartoryski był zamierzoną interwencją Rosyi bardzo zaniepokojony. Nie wróżył nie dobrego i bardzo ganił Górgoja—tak jak wszyscy ludzie, którzy się temi wypadkami interesowali—iż zamiast iść na Wiedeń po zwycięstwie pod Komornem, zwrócił się był pod Budę i stracił sposobność wzięcia austriackiej stolicy. Władysław Zamoyski miał więcej otuchy; widziałem go wybierającego się do Węgier przez Konstantynopol. Widziałem także przed wyjazdem Telekiego—ale znalazłszy go w tymże samym sceptyzmie i epikureizmie jak za przybyciem moim do Paryża — mówiłem z nim mało bardzo o węgierskiej, a obszernie o innej sprawie. Miałem w hotelu sąsiadkę Rosyankę, pod polskiem, nawet bardzo arystokratycznym nazwiskiem—nie wiem jakim sposobem zabląkanem w głąb Rosyi — którą pianista Liszt uwiózł był z Charkowa od męża i dzieci i zostawił na koszu nad Renem. Ona śnać nie lubiła

Niemców i wyrwała się do Paryża, gdzie się zgłosiła do Telekiego, ażeby nawrócił do niej niewiernego. Teleki nie miał zbyt czulego serca i nieszczęsna musiała drogo okupić obietnicę protekeyi, która na niczem spelzła. Była już podwójną Ariadną, gdy w łoży odźwiernego spostrzegła pod moim kłuczem bilet wizytowy Telekiego. Nuż w prośby do mnie, żebym jej choć Telekiego zwrócił. Nie przyrzekłem jej tego bynajmniej, lecz będąc u ambasadora węgierskiego i, widząc, że ziewa gdym zaczął z nim o wypadkach węgierskich mówić, wprowadziłem sprawę owej rosyjskiej Ariadny. Wydawało mi się to zabawnem. Rzeczywiście, Teleki się poruszył, uniewinniał się, oskarżał Ariadnę i w końcu zarzucił mi, że zapewne każę sobie moje adwokatowanie taką samą ceną opłacać jak on swoją obietnicę protekeyi. Odpowiedziałem mu, śmiejąc się, że nie jestem ambasadorem węgierskim, abym na taką grubą zwierzynę polował... i na tem skończyła się moja konferencya dyplomatyczna.

Wyjechałem z Paryża 14 czerwca. Pamiętam tę datę, bo w przeddzień była—z powodu wyprawy do Rzymu—tłumna manifestacya, którą wojsko rozpedziło; a cholera tak silnie grasowała w stolicy francuskiej, że kawalerya, rozstawiona wzdłuż Bulwarów, przeciąwszy komunikację między jedną a drugą stroną tej głównej arteryi paryskiej, wstrzymała na wszystkich poprzecznych ulicach pogrzeby, a na niejednej kilka pogrzebów, co nie przeszkodziło Paryżanom manifestować.

W Badeńskiem zatrzymałem się naprzód w Bad-Badenie, gdzie wiedziałem, że jest Heltman, i od

niego spodziewałem się dowiedzieć, gdzie mam szukać Mierosławskiego — ale i on nie wiedział co się z nim dzieje. Musiałem więc czekać na jakąś wiadomość o wodzu i wojsku badeńskim i przebawiłem parę dni z Heltmanem w Bad-Badenie. Heltman był to charakter idealny — poeta w czynie — ale tem samem więcej szkodliwy niż użyteczny. Żył ciąglemi złudzeniami i drugich w nie pociągał atrakcją, jaką umysł i charakter jego wywierały na duże skłonne do entuzjazmu. Długo kierował on całą demokracją jako prezes centralizacyi, przytem był najobfitszym i najcelniejszym z demokratycznych pisarzy. Styl jego czysty i gładki płynął szerokiem korytem jak rzeka, a gdzie trzeba było bohaterских poświęceń, tam on biegł pierwszy, jakby poświęcenia były jego specjalnością. Nie wiem wiele razy był emisaryuszem w najrozmaitszych częściach Polski, ażeby przygotowywać to powstanie mas, które było jego marzeniem. Zresztą był skromnym, słodkim i ufnym jak dziecko. Przytoczyłem wyżej zdanie jego o Mierosławskim — podobnie wierzył we wszystkich swoich współdziałaczy i swoich przyjaciół, każdego brał za co się dawał, a zawody jego zacząć się miały dopiero od Mierosławskiego.

Po dwóch czy trzech dniach oczekiwania przywiózł nam nakoniec inny centralizator, Krzyżanowski, nowiny od Mierosławskiego. Przyjechał on z Karlsruhe i doniósł nam, że przybył tam tegoż samego dnia rankiem Adam Mierosławski, który bratu swojemu Ludwikowi ciągle towarzyszył. Zostawił on go w marszu o parę etapów od Karlsruhe z całą prawie armią badeńską na nowo po rozbicia

zgrupowaną—i powiadał, że Ludwik dąży do stolicy badeńskiej, gdzie przykazał, ażeby czekała na niego formująca się kompania polska, złożona z 200 młodzieży z nowej emigracyi — zaś Adam Mierosławski ma się zająć umocnieniem na przedzie tego miasta.

Podług tych nowin nie mnie bardzo nie nagliło do wyjazdu z Bad-Badenu, a miałem interes wyrozumieć tych dwóch centralizatorów jakby im przypadł mój projekt. Przepędziłem więc resztę dnia z nimi. Skreśliłem już sylwetkę Heltmana; Krzyżanowski był zupełnie odmiennym człowiekiem. Po długiej rozmowie można było poznać, że ani uczuciem, ani wyobraźnią się nie rządzi, że to charakter umiarkowany, wytrawny, ale pozytywny i energiczny. Był on delegatem centralizacyi przy rządzie rewolucyjnym badeńskim, a centralizacya wiedziała kogo wybrała. Krzyżanowski, mówiący doskonale po niemiecku i obznajmiony ze stosunkami niemieckimi, wychodził z wielkim taktem, z adwokatami składającymi ów rząd i każde zdanie jego miało u nich wielką wagę, jak się później o tem przekonałem. Heltman przyłączył się wnet z entuzjazmem do mojego projektu, Krzyżanowski zaś był mu zrazu zupełnie przeciwny. Utrzymywał on, że Mierosławski ma takie zobowiązania względem Badeńczyków, iż mu honor nie pozwala odstąpić ich sprawy, a zwłaszcza też zabierać im najlepszą część wojska, ażeby je dla innej sprawy użyć — że to byłoby wprost zdradą. Wyjaśniłem mu, że nie chodzi tu *bynajmniej o to*, żeby to natychmiast uczynił i bez *wiedzy rządu*. Niech Mierosławski, rzekłem, pró-

buje jeszcze szczęścia póki się nie przekona i póki rząd badeński także się nie przekona, że dłuższa walka doprowadzić może tylko do ogromnej klęski lub poddania się na łaskę i niełaskę Prusaków. Wiem ja, że Mierosławski mógłby się trzymać długo w Czarnej puszczy, gdyby miał poddostatkiem żywności i amunicyi, ale prawdopodobnie zabraknie mu prędko tego wszystkiego i wojsko mu się rozpręgnie pod ręką. Czyż nie lepiej więc, nim do tej ostateczności przyjdzie, zastanowić się dobrze jakby jej uniknąć. Owóż zdaje mi się, że projekt podany przezemnie jest nawet ze stanowiska badeńskiego najpraktyczniejszym i najzaszczytniejszym po temu środkiem. Rzucając się na tyły armii austriackiej ażeby współdziałać z Węgrami, korpus ochotniczy badeński waleczyć nie przestanie za sprawę jedności niemieckiej, z większą nadzieją skutku niż w tym zakątku Niemiec, gdzie Badeńczyków prą tak przeważną siłą Prusacy. Rewolucya badeńska mogła się tylko w takim razie udać, gdyby pociągnęła była w tenże sam wir Württemberg, Bawaryę, małe państwa niemieckie, a w końcu i Prusy, ale Badeńczycy wależą samotnie przeciw całej potędze pruskiej i niezawodnie sami jedności niemieckiej nie wywalczą—ulegną nie dziś, to jutro! W państwie austriackiem zaś znajdują sprzymierzeńców w Czechach, Węgrach, Polakach, Niemcach wiedeńskich, Włochach, a jeżeli Rosya wkroczy do Węgier, to wszystkie kwestye europejskie ześrodkują się w obrębie tego państwa. Krzyżanowski zaczął się chwiać; pokazałem mu wtenczas na karcie geograficznej jak łatwe jest przejście z Badeńskiego do Tyrolu; do-

wodzilęm, że żywność i amunicyę można nawet przewieźć jeziorem Boden na brzeg tyrolski w okolicy Bregenzy, a Tyrol, rzekłem, ogołocony jest z austryackiego wojska; tam więc Badeńczycy zorganizować się będą mogli, rekwirować co im potrzeba i posuwać się w kierunku jaki wypadki wskażą — w najgorszym zaś razie cofnąć się do Szwajcaryi. Przy pomocy karty dokonałem przekonania Krzyżanowskiego. „Będę ja o tem mówił, rzekł, z ministrami badeńskimi — od razu wszystkiego nie powiem — po słówku rzecz wprowadzę i o wszystkim wam doniosę”.

Nazajutrz po tej rozmowie byłem w Karlsruhe. Adam Mierosławski rządził tam jak gubernator rosyjski w zdobytym mieście; napędzał całą ludność do sypania szańców, kłął i wymyślał po francusku, a spokojni mieszczanie — przeklinający w duszy rewolucyę — drżeli przed nim. Kompania ochotników z młodej emigracyi, która się znajdowała w Karlsruhe, była w oplakanyim stanie, wszyscy w bluzach obdartych i zgłodniiali, bo nikt się nimi nie zajmował, a oni nie wiedzieli do kogo się odwołać ¹⁾. Wszyscy nie bawiliśmy długo w stolicy badeńskiej, bo drugiego czy trzeciego dnia przyszła wiadomość od Ludwika Mierosławskiego, że przybył z wojskiem do Rastadtu ominąwszy Karlsruhe, którego bronić nie myśli. Podążyliśmy za nim, a rząd rewolucyjny przeniósł się do Freiburga.

¹⁾ Był między nimi młody jeden Fredro, syn Maksymiliana, bardzo dobrze wychowany i utalentowany młodzieniec; umarł na suchoty w Szwajcaryi.

Ludwik Mierosławski zdziwił się nie mało, gdy mnie zobaczył. Powiedziałem mu, że przyjechałem z Francji, aby być z nim aż do chwili, w której sam osądzi, że sprawa badeńska stracona, a sprawa polska się podnosi w Węgrzech. Prosił mnie o szczegóły wypadków, jakie zaszły w Węgrzech, bo dawno już żadnej gazety nie miał wręku. Opowiedziałem mu zwycięstwa generałów węgierskich, plan Dembińskiego wkroczenia do Galicji i wszystko, co mówią o przyszłej interwencji rosyjskiej. Chciałem go wybadać co myśli počąć, ale nie innego wy dobyć z niego nie mogłem, jak fanfaronadę i błagę. Sądzićby można było, że był najpewniejszym zwycięstwa. W końcu rzekł mi: kiedy już tu przyjechałeś, zostań przy mnie, będziesz moim adjutantem. Zgodziłem się na to, lubo rola ta wydawała się komiczną w własnych moich oczach, ale chciałem popracować jeszcze nad Mierosławskim, a liczyłem na poparcie ze strony Heltmana, Krzyżanowskiego i otaczających go Polaków. Przywdziałem więc mundur adjutanta generała Mierosławskiego i o mało drogo tego nie opłaciłem, jak to opowiem dalej.

W Rastadzie upłynęło mi kilka dni jak na zabawie, o Prusakach nie było słyhać, a sztab główny obsadzony był samymi tylko Polakami, dla których te dni wolne od biedy były prawdziwemi wakacyami. Był tam Chrystowski, kolega Mierosławskiego w centralizacji, Służalski, ów faworyt Mickiewicza, o którym mówiłem dawniej, Żurkowski, doktor, który na Mierosławskiego największy wpływ wywierał i kilkunastu innych w najrozmaitszych

mundurach, bo każdy sobie wybierał taki, jaki mu się podobał, tylko wszyscy brali wzory z wojska Konstantynowskiego. W fortecy i w wojsku panowała niesłychana anarchia. Mierosławski zachował był szwadron dragonów gwardyi książęcej, który był najprzeciwniejszym ruchowi rewolucyjnemu.— W czasie odwrotu Mierosławskiego reszta tego pułku i dwa inne także dragonów były pod dowództwem pocziwego generała naszego Sznajdera, napadli na niego, pobili go niemilosierdzie i poranili tak, że musiano go odwieść do Francyi, a dragoni przeszli do Prusaków pod Waghäusel. Mierosławski jednak zatrzymał przy sobie pozostały szwadron dragonów, ażeby mu tworzył orszak na przeglądach i paradach, lecz, obawiając się losu Sznajdera, uformował z Polaków z młodej emigracyi swoją straż przyboczną i kazał im sypiać z bronią na korytarzach kwatery głównej. Artylerzyści mieli podobnie przywilej bezkarności, wieszali bez sądu różnych podejrzanych im ludzi w Rastadzie. Jednego dnia powiesili rano szewca dla tego, że był Prusakiem, lubo od trzydziestu lat osiadłym w tem mieście; wieczór powiesili innego mieszkańca, którego podejrzawali o szpiegostwo. Mówiłem o tem z oburzeniem Mierosławskiemu: „Rastadt, rzekłem, stanie się niebawem jaskinią rozbójników”. „Ech, wykrzyknął Mierosławski, moim artylerzystom wszystko wolno!”

Tolerować wszystko żołnierzom było rzeczywicie koniecznością jego sytuacji. — Gdyby był *chciał* zaprowadzić porządek, karność, sądy wojenne — *i* gdyby jednego tylko żołnierza rozstrzelano,

całe to buntownicze wojsko byłoby rzuciło się na niego i rozszarpało go. — Pod taką grozą nie mógł lub nie śmiał inaczej go uorganizować, jak na sposób radykalnie-demokratyczny. Żołnierze wybierali sami sobie podoficerów i oficerów niższych. Wyższych tylko on mianował, ale, jak widzieliśmy na przykładzie generała Szejdera, nie szło to w smak żołdactwu. Stare wojsko Badeńskie było wprawdzie tak wyćwiczone—mianowicie artylerya—że żołnierze sami wiedzieli co czynić i umieli się poznać na zdolniejszych kolegach, ale ruchawkę ani podobna było prowadzić w kupie, a Mierosławski nie korzystał nawet z kilku dni wolnych, żeby tę hołotę trochę przemustrować.

Miałże on jaki plan strategiczny w tej awanturniczej kampanii? Mogę śmiało powiedzieć—opierając się na zdaniu jednomyślnym zebranej później rady wojennej—żadnego. Cała jego strategia polegała na ciągłym cofaniu się przed Prusakami, którymi dowodził następcą tronu, późniejszy cesarz Wilhelm I, ostrzeliwał się tylko gdzie na to była sposobna pozycja dla ocalenia honoru. W Rastadzie ani myślał się bronić; było to widoczne, dla najmniej znającego się na sztuce wojennej. Rastadt była to forteca nie ukończona, nie uzbrojona, bez żadnych zapasów, a przed szancami w jednej stronie ciągnął się szeroko dosyć gęsty las, który mógł doskonale zasłaniać ruchy nieprzyjaciela. Wszyscy w około Mierosławskiego radzili mu, żeby ten las spalił—on tego nie chciał; co było najoczywistszym dowodem, że ma zamiar Rastadt opuścić za powzięciem się Prusaków. Kazał tylko wystawić

laskiem baterię z faszyn i z ziemi, za tą zasłoną umieścił kilka dział, a za niemi posterunek starej piechoty. Podobnych posterunków postawił kilka w okolo fortecy i tem się ograniczały jego przygotowania do przyjęcia Prusaków.

Zmiarkowawszy jego myśl, raz gdy był sam w swoim gabinecie, zbliżyłem się do niego i przedstawiłem mu projekt, z jakim udałem się za nim w Badeńskie. Powtórzyłem mu wszystko, com powiedział Heltmanowi i Krzyżanowskiemu, popierając moje argumenta, podobnie jak to uczyniłem z niemi, skazówkami na karcie geograficznej; starałem się poruszyć jego patryotyzm, jego ambicyę, jego uczucie honoru wojskowego, który mógł w ten sposób ocalić, ale słuchał mnie dosyć obojętnie i w końcu odpowiedział, że żadnej decyzji pod tym względem powziąć nie może, nim się raz jeszcze z Prusakami nie zmierzy, mając nadzieję, że weźmie odwet. Trzeba było więc jeszcze czekać na tę próbę stanowczą i nie czekałem długo. W parę dni potem okolo południa, podczas gdy Mierosławski z częścią sztabu swojego objeżdżał posterunki, a ja tylko i Chrystowski byliśmy w kwaterze głównej, zagrzmiały działa za laskiem. Kanonada była silna i przedłużała się. Wkrótce przybiegł do nas kanonier cały prochem osmolony i powiedział nam, że Prusacy są w znacznej sile ukryci w dole i bez wątpienia gotują się do ataku, a skoro się pokażą, działa badeńskie będą musiały cofnąć się, mając zbyt słabą asekuracyę za sobą. Byliśmy w straszliwym kłopotcie, nie wiedząc gdzie szukać Mierosławskiego. Szczęściem po *chwilec* przyjechał i natychmiast kazał uderzyć

w bębny na alarm; wojsko zaczęło się gromadzić na placu, a on, nie zsiadając z konia z całym sztabem, do którego ja i Chrystowski przyłączyliśmy się, pośpieszył ku zaatakowanej baterii. Czekał tam na niego Służalski, który już obejrzał był pozycję Prusaków i zaoferował się pokazać ją Mierosławskiemu. Pojechaliśmy wszyscy za jego przewodem. Długo nie widać było jak tylko gołe pole, podnoszące się zwolna. Dopiero, gdyśmy przybyli na krawędz tego podniesienia, postrzegliśmy w dole artylerję pruską, faszynami osłoniętą, a za nią rozciągnęła linię piechoty. Prusacy przywitali nas wściekłym krzykiem, zwróciliśmy czempredzej konie, puściliśmy im cugle — instynkt zbił je w jedną kupkę, a było nas przynajmniej piętnastu i taką kupą biegliśmy. Prusacy kartaczami za nami sypnęli, ale nikogo nie dosięgli. Wróciwszy do lasku zastaliśmy tam już zgromadzoną całą armią, jaką Mierosławski miał pod ręką. Wnet poręczył on stare pułki na prawo i na lewo; została tylko ruchawka, którą kazał mnie prowadzić na Prusaków, bo już strzały karabinowe zwiastowały, że postępują naprzód. Trudno mi wypowiedzieć co to za bieda była prowadzić tę bołotę do boju, a właśnie szedłem w sam środek ataku, gdzie należało było posłać stare pułki. Pies owczarski, napędzający do kupy spłoszoną trzodę owiec, mniej niewątpliwie ma do roboty, niżeli ja miałem z ową ludzką trzodą. Naprózno dla dodania jej animuszu, kazałem jej śpiewać chórem pieśni patryotyczne—pieśni zatrzymywały się w gardłach, a śpiewacy kryli się we wszystkie krzaki, za wszystkie drzewa, w fosy i w doły, pod różnemi pretekstami.

Nareszcie wyprowadziłem, jeżeli nie wszystkich to przynajmniej największą część, na otwarte pole gdzie stały nasze armaty zupełnie odkryte z lewego skrzydła i spostrzegłem tyralierów pruskich, zbliżających się dosyć szybko, żeby napaść z tyłu na nie, a za tyralierami ściśle linie piechoty. Kozsypałem ruchawkę moją w tyraliery za rowem, na którym był mostek, a sam stanąłem na tym mostku, ażeby uciekającym drogę przeciąć, bo miałem przekonanie, że moi żołnierze kilku minut nie wytrzymują w ogniu. Nie omyliłem się; wkrótce zaczęli ustępować—ciężko tłoczyli się na mostek—koń mój wspiął się i pechany przez tłum zleciał ze mną w rów. Nimem zdołał—potłuczony—wydobyć się z wody i błota, i konia mojego pochwycić, już cała ruchawka moja była w ucieczce, a artylerzyści zaprzodkowali byli działa i ruszyli za holotą. Turkot armat i jaszczyków, pędzących cwałem po drodze bitej, dał hasło do ogólnej ucieczki. Kurz taki powstał, że nie widać było świata, musiałem znowu koniowi cugle puścić i zdać się na jego instykt. Dopiero pod samemi wałami zdołał Mierosławski na czele polskiej kompanii cały ten popłoch wstrzymać i wojsko napowrót uszykować. Zostawił mu potem kilka godzin na wypoczynek i obiad. Pod wieczór wyprowadził je znowu przeciw nieprzyjacielowi. Tym razem, na czele szła kompania polska rosypana w tyraliery, za nią stare pułki, w końcu ruchawka. Polacy dawali przykład męstwa i oni głównie wyparli Prusaków z lasu. Działa nasze wróciły na dawną pozycję i *niebezpieczeństwo* zdawało się zażegnane.

Nazajutrz mieliśmy ranek spokojny, żadnych

strzałów nie było słyhać, a Mierosławski był tryumfującym; spostrzegłem jednak, że wewnątrz gryzła go jakaś troska. Wyprawił mnie do posterunku dosyć odległego, w stronie przeciwnej laskowi i baterjom przed nim ustawionym, ażebym go zlustrował na prędcie i dowiedział się, czy się tam Prusacy nie pokazują. Dopelnilem tego zlecenia i wracałem do fortecy, gdy, rzuciwszy okiem na prawo, postrzegam na innej drodze, wiodącej także do Rastadtu, w dosyć znacznej odległości, długą linię czarną, poruszającą się w kierunku wstecznym od fortecy. Przypatruję się lepiej i poznaję sztab główny na koniach, piechotę, artyleryę, pociągi—zgoła całe wojsko Badeńskie. Zdziwiony, skręcam konia, daję mu ostrogę i lecę przez mokrą łąkę i orane pola—dopędzam Mierosławskiego i pytam go, co się stało, że tak zniemacka wychodzi z Rastadtu. Odpowiada mi, że Prusacy otaczają tę fortecę, jedna tylko pozostała droga do wyjścia, którą lada chwila zamknąć mogą—nie było chwili do stracenia i wyprowadził czempredzej wojsko, ażeby nie być odciętym. Tak więc gdyby nie przypadek szczęśliwy, żem spostrzegł wychodzące wojsko, byłbym wrócił do opuszczonego Rastadtu, gdzieby mnie rozstrzelali, jak się to stało z Mniewskim, którego Mierosławski na innym jakimś posterunku zostawił.

Sens moralny, wynikający z podobnych nauczerek, jest, że adyutantując przy generale awanturniczym, który wojuje bez żadnego planu, trzeba być przygotowanym, iż można bardzo łatwo wpaść w ręce nieprzyjaciela i być rozstrzelanym lub powieszonym.

Prusacy nie zaraz spostrzegli, że Mierosławski

z rąk im się wymknął. Zaszliśmy spokojnie do jakiegoś miasteczka, którego nazwiska nie pamiętam, dwie czy trzy mile na południe Rastadtu. Tam Mierosławski chciał jakiś opór stawić nieprzyjacielowi dla ocalenia honoru poraz ostatni, ale nim pozycję wybrał, krzyk się rozległ: Prusacy idą!—Żołnierze nie czekając na żaden rozkaz porwali za broń, artylerzyści zaprzodkowali działa i cała armia ruszyła w dalszy pochód—przyznać muszę, że w pewnym porządku lubo nikt nią nie komenderował.

Wśród tego ruchu Mierosławski z oczów mi zniknął; szukałem go i nie mogłem nigdzie znaleźć, aż nareszcie spostrzegam, że jestem na rynku sam jeden z Badeńskiego wojska. Dopadam do kwatery głównej i szczęściem zastaję tam jeszcze szefa sztabu Mierosławskiego, Niemca, ale dobrze mówiącego po francusku i jowialnego. Pakował już z swoim kancelistą resztki różnych papierów wojskowych, pytam go, gdzie generał „*Il a f... le camp*”, a cóż my poczniemy? „*Nous f... le camp idem*”. Zaofiarował mi miejsce w swoim powozie, który czekał przed bramą, przyczepiłem konia mojego do koni powozowych i zabrałem się z Niemcem i jego kancelistą.

Czas był już wielki na to, bo Prusacy byli tuż pod miastem i ztamtąd puszczały kartacze za wojskiem Badeńskim, a tyralierzy ich, postrzegłszy nasz powóz, dążący za nim, strzelali do niego jak do celu. Kilka kul przeszło pokrycie powozu. Snać nie mieli kawalerji na podorędziu, bo byłaby nas niewątpliwie dognała.

Wieczorem przybyliśmy do Offenburga, zosta-

wiwszy o parę mil za sobą armię Badeńską samej sobie zostawioną, lecz która w nocy czy nad rankiem zgromadziła się w całość prawie pod tem miastem. Mierosławskiego widzieć nie mogłem tegoż wieczora. Zaszedłem do doktora Żurkowskiego, który jeden, jak już wspomniałem wyżej, wywierał wpływ na niego i poprosiłem go, żeby natychmiast wezwał wszystkich Polaków ze sztabu, gdyż mam im ważną rzecz do przedstawienia. Niebawem zebrał się wszyscy, opowiedziałem im mój projekt. „Chwila jest stanowcza, rzekłem, dłużej wahać się nie można. W tej armii, którą Mierosławski ma jeszcze pod ręką i z którą już nie zrobić nie potrafi na Badeńskiej ziemi, jest jeszcze z 8,000 starych żołnierzy na wszystko zdecydowanych. Pewnym jestem, że jeżeli Mierosławski zechce przerznąć się do Tyrolu, znajdzie między nimi ze 6,000 ochotników, którzy pójdą za nim, a niewątpliwie cała artylerya ze swojemi 40 czy 50 działami nie opuści go. Rząd nawet pójdzie z nami z kasą”.

Wszyscy byli mojego zdania i przyrzekli mi nazajutrz jednoznacznie nalegać na Mierosławskiego, ażeby się tego projektu chwycił. Rzeczywiście nazajutrz zaatakowaliśmy go połączonemi siłami. Zmieształ się. „Wiem ja, rzekł, że to nie jest projekt niemożliwy i drugiemu by się udał, ale ja nie jestem szczęśliwy, widzicie, że nie mi się nie udaje, mnie otoczą i schwyca”.

Daremnie staraliśmy się podnieść w nim ducha, na wszystkie perswazyje nasze odpowiadał jednostajnie „nie, nie namówicie mnie do tego przedsięwzięcia, bo mam przekonanie, żeby mi się nie udało”.

„*C'est un homme fini et f...*”, szepnął mi do ucha szef sztabu, Niemiec. Nie mogąc nic wskórać rozeszli się wezwani przezemnie ziomkowie, wszyscy zasmaczeni, tem bardziej, że nam Mierosławski słówka jednego nie powiedział o dalszych swoich planach. Dano obiad, do którego zasiadło pięć osób, dwaj Mierosławscy, Chrystowski, Żurkowski i ja. Spożywaliśmy w milczeniu, gdy nagle drzwi się otwierają i wpada Polak ze szlifami pułkownika, a w mundurze takim, jaki nosili fligeladyutanci Konstantego; za nim dwóch czy trzech innych także w mundurach oficerskich fantazyjnych. Pułkownik, którego nazwiska nie pamiętam, odezwał się do Mierosławskiego tonem grzecznym, ale stanowczym: „generale, dowiedziałem się i z dobrego źródła, żeś dał dymisyę, wzywam cię w imię honoru i uczciwości, żebyś nam powiedział, czy tak jest. Ja mam żonę i dzieci i miałbyś ciężko na sumieniu, gdybyś mnie wystawił na śmierć jak Mniewskiego, bez użytku ani dla polskiej ani nawet dla badeńskiej sprawy”.

Mierosławski zbladł i po chwili wahania się: „Tak jest, rzekł, posłałem dymisyę moją rządowi i wyjeżdżam pierwszym pociągiem, ale proszę was wszystkich nie jedźcie ze mną, bo wszystkich nas razem zatrzymają na drodze Badeńczycy i może rozsiekają; mnie zgubicie, a siebie nie ocalicie”. Pułkownik, nie słuchając dalej, wyszedł ze swoimi kolegami, skinąwszy zaledwie głową Mierosławskiemu. Poszedłem niedługo potem za jego przykładem. Wszyscy Polacy, będący w Offenburgu, zebraliśmy się na radę i zdecydowaliśmy, że, nie zważając na samolubne zakłęcia Mierosławskiego,

pojedziemy wraz z nim pierwszym pociągiem, bo Prusacy wejdą zapewne w nocy do miasta, a nie mamy żadnej przyczyny czekać na nich i poświęcić się dla uchronienia Mierosławskiego od jakiegoś niebezpieczeństwa, które jest wprost tylko w jego imaginacyi. Zgodziliśmy się na to, że cokolwiek z sobą pocznie Mierosławski, my udamy się do Freiburga i oddamy się pod rozporządzenie rządu Badeńskiego. Tak się też stało, wyjechaliśmy tymże samym pociągiem co Mierosławski, którego widzieliśmy wsiadającego z bratem do *coupé*, obydwaj w paletotach i czapkach cywilnych. My wsiadliśmy do innych wagonów, a w Freiburgu wysiedliśmy, nie troszcząc się już dalej o naszego ex-wodza. — Poszedłem tegoż wieczora jeszcze do Heltmana i Krzyżanowskiego, opowiedziałem im wszystko, co zaszło i oświadczyłem, że podług postanowienia powziętego na zgromadzeniu Polaków w Offenburgu poddajemy się wszyscy pod rozkazy rządu tymczasowego badeńskiego.

Nazajutrz rano wchodzi do mnie Krzyżanowski z miną zaszępną i powiada mi: Dobrze, że choć pan tu zostałeś.—Choć ja!—zawołałem—przecież jest tu nas więcej Polaków.—To nie wiesz pan co się stało? zapytał mnie.—Nic nie wiem, odpowiedziałem.—„Zaszedł tu oplakany wypadek, rzekł Krzyżanowski,—Mierosławskiego poznał jakiś dozorca na banhofie tutejszym, a naczelnik banhofu zaaresztował go, myśląc, że ucieka, a może i z kasą. Dymisy, którą mu Mierosławski pokazał, nie zaspokoila go, odwołał się do rządu. Tymczasem pociąg odjechał i zrobiła się zamieszka na dworcu. Wymy-

ślano na Mierosławskiego, nazywano go zdrajcą, nareszcie przyszedł rozkaz od rządu, żeby go wolno puścić, musiał jednak czekać na następny pociąg. Z tego czasu korzystał brat jego, ażeby wyszukać Polaków, opowiedział wszystkim, snać z przesadą niebezpieczeństwo w jakim się brat jego znajdował, zapewniał, że kontr-rewolucya gotuje się w Freiburgu; że Niemcy chcą na Polaków złożyć winę rewolucyi i wydać ich Prusakom, że przeto nie im nie pozostaje do czynienia jak zabrać się z bratem jego do Szwajcaryi. Wszyscy usłuchali go i wyjechali z nim jednym pociągiem, a co najgorsza, młodzież kompanii polskiej zabrała z sobą broń, którą na granicy Szwajcarom wydać musiała. — Wsiadając tam rozpowiadali ci młodzi ludzie głośno plotki, jakie słyszeli od Adama Mierosławskiego; raport o tem przyszedł do rządu i członkowie jego chcieli manifest przeciw postępowaniu Polaków ogłosić w gazecie tutejszej—ledwo ich od tego wstrzymałem. Dziś ma być rada wojenna, na którą ja i Heltman jesteśmy wezwani — przyjdź tam pan wraz z nami—jako świadek naoczny weźmiesz obronę honoru polskiego”.

Przyrzekłem to uczynić. Byłem na tej radzie—okropne były ze wszystkich względów oskarżenia na Mierosławskiego. Sybel, minister wojny i organizator całego powstania, wziął nas trzech Polaków na stronę i rzekł nam: Nie chcę głośno oskarżać Mierosławskiego, ale wam, ziomkom jego, powiem szczerze, że on wszystko zdeorganizował, co ja *uorganizowałem*; wprowadził anarchię, nieład, chaos *wszędzie*—żadnego rachunku nie składał z przesyła-

nych mu funduszów—w całym ciągu tej blisko trzymiesięcznej kampanii żadnego ruchu strategicznego, to jest mającego jakąś zasadę, jakieś wyrachowanie, jakiś cel, nie wykonał—zmarnował tylko wszystkie siły, któreśmy mu powierzyli, a miał 10,000 regularnego wojska i 10,000 nowego dobrze uzbrojonego. Teraz postawił nas w takim położeniu, że wszyscy obecni na tej radzie musimy uchodzić i zostawić kraj na łaskę i niełaskę Prusaków.

Nie widziałem sposobu bronięcia Mierosławskiego—bronilem tylko młodzież polską, która obowiązek swój przynajmniej pod Rastadtem świetnie wypełniła. Wychodząc z tej rady, przypomniałem Heltmanowi zdanie, jakie mi wypowiedział o Mierosławskim w Bad-Badenie.—Któż się mógł tego spodziewać, odpowiedział mi smutnie — i w rzeczy samej Mierosławski złudził wszystkich, którzy sądzą, że kto zdolnym jest krytykować działania wodzów, jest tem samym zdolnym dowodzić wojskami, a takich jest bardzo wielu. Mówiłem już wyżej, że Mierosławskiemu, obznajomionemu z prawidłami strategii, brak było nietylko praktyki sztuki wojskowej, ale nawet fundamentalnych wiadomości, potrzebnych oficerowi—że nawet temperament jego nie był wojskowym, a tem mniej rycerskim. W Badeńskim przekonałem się dowodnie, że odwaga jego miała jedyne źródło w jego ambicyi i w próżności; dlatego też wystarczała na krótką chwilę tylko. Mógł podjechać pod armaty nieprzyjacielskie, wyprowadzić tyralierów, może i kolumny ściśle w najgęstszy ogień karabinowy, ale w tym ogniu długo wytrzymać nie mógł—wnet się cofał na bezpieczne miejsce, choćby

ztamtąd trudno mu było dojrzeć co się dzieje na przednich liniach, jak to uczynił pod Rastadtem. Odwaga ciągała, we wszystkich okolicznościach, we wszystkich chwilach życia, odwaga wojskowa i cywilna zarazem była cnotą zupełnie mu obcą. W Badeńskim okazał się może niższym od zwyczajnego poziomu swojego talentu i charakteru, a to z podwójnej przyczyny, raz, że go badeńska sprawa bynajmniej nie obchodziła—drugi raz, że strach przed zemstą pruską wszystkie siły jego paraliżował i charakter jego w chwilach groźnych poniżał do takiego stopnia, że m się wstydził za niego. Wiedział on bowiem dobrze, że, sprzeniewierzywszy się przyrzeczeniu pod słowem honoru podpisanemu przez niego przy kapitulacyi w 1848 roku, iż na Prusaków nigdy broni nie podniesie, musiałby głowę schylić pod najsroźszymi obelgami, gdyby wpadł w ich ręce, nie licząc tego, że byłby w dodatku niechybnie rozstrzelanym lub powieszonym. Jak mógł w takich okolicznościach podjąć się dowództwa nad zbuntowanym wojskiem badeńskim? — to chyba tem jednem wytłomaczyć można przy zwykłej jego lekko-myślności, że się nie spodziewał mieć z Prusakami do czynienia. Bądź co bądź, strach ten, towarzyszący mu jak cień nieodstępny gdy hetmanił na czele 20,000 wojska, było, karą za jego niesłychaną próżność.

XIII.

Sprawa badeńska zakończyła się na radzie wojennej, o której wspomniałem. Wszyscy obecni uznali, że dłużej prowadzić walkę jest niepodobieństwem. Mogłem więc już bez skrupułu wyjechać z Badeńskiego. Dla formy zażądałem dymisji od ministra wojny, Sybla, który przysłał mi był patent na kapitana badeńskiego i udałem się do Bernu. W Szwajcaryi trzeba mi było przesiedzieć około trzech tygodni, ażeby doczekać się tam przesyłki funduszów z kraju, mając zamiar jechać do Węgier przez Turcję. Zabawiłem tydzień w Bernie. Na wstępie, zaszedłszy na obiad do restauracyi w hotelu, gdzie stanął, slysze przy stole ogólnym rozmowę o Mierosławskim, którego Szwajcarzy nazywali „*der general Miroluski*“. Siedział między nimi człowiek jeden, wysoki, gruby, osiwiwały, ślepy na jedno oko, a drugie błyszczało złośliwością mefistofelesowską. Ten odezwał się po francusku z akcentem wszakże cudzoziemskim: — „Ech! generał ci to wątpliwy, ale *czem on jest niezaprzeczenie, to grabarzem rewolu-*”

cyi. Już trzecią pogrzebał, jak będzie ich pięć, trzeba będzie to krzyżykiem naznaczyć.—Zacieka-
wil mnie ten jegomość, starałem się wywiedzieć kto
on jest i powiedziano mi w biurze hotelowem, że
to osławiony Adam Gurowski.

Pod Bernem w ładnej willi mieszkała spokre-
wniona ze mną rodzina generała Józefa Szymanow-
skiego, który przebywał w Rzymie i był w wyso-
kich łaskach u Ojca św. Piusa IX. Odwiedzałem
codziennie prawie, w ciągu krótkiego pobytu moje-
go w Bernie, tę zacną rodzinę, znajdując u niej ser-
deczne, prawdziwie familijne przyjęcie, tak miłe na
obcej ziemi, jak cień palm i źródł ożywezy w oa-
zie dla Araba, błakającego się na pustyni; tylko
w oazie pani Szymanowskiej zamieszkiwało nieszczę-
ście—jedna z jej córek była obłąkana. Wyobrazila
sobie, że, przyjmując na siebie pokutę za ojczyznę,
odwróci od niej plagi, jakie Bóg na nią zesłał. Nie
przystając na modłach i postach, zadawała sobie
dziwne pokuty, np. zgrzytała po całych dniach zę-
bami do Najświętszej Panny. Gdy był w Bernie
żadnego pożywienia brać nie chciała i nie można
było tego jej postanowienia przelamać, trzeba było
dla pokrzepienia trochę jej sił kąpać ją w bulionie.
Nie mogło to jednak długo utrzymać jej życia,
wkrótce po wyjeździe moim z Berna umarła biedna
obłąkana, zagłodziwszy się.

Z Berna udałem się do Genewy, gdzie zasta-
łem mnóstwo przyjezdnych Polaków emigrantów,
między innymi Józefa Sobolewskiego, do którego
*miałem, jak to już wyżej nadmienilem, list poleca-
jący od księcia Czartoryskiego.* Największa część

tych gości w Genewie zgromadzała się w willi, zamieszkałej przez państwa Nakwaskich, którzy przyjmowali rodaków z prawdziwie staropolską gościnnością. P. Henryk Nakwaski, poseł na sejm 1831 r., był najczystszy typem Warszawianina. Najlepiej go scharakteryzowała dawna jedna piękność warszawska, która chlubne polskie nazwisko Chodkiewiczowej zamieniła na nazwisko Galicynowej. Widząc go wchodzącego do jej salonn, gdzieś u wód nad Renem, po wielu latach niewidzenia, wykrzyknęła: — Ach! zdaje mi się, że widzę samego króla Zygmunta, schodzącego ze swojej kolumny!—W rzeczy samej, Henryk Nakwaski, żywy, ruchliwy, gadatliwy, wesoły, uprzejmy, gościnny, miał w swoim obejściu, akcencie, wyrażeniach, sposobie widzenia rzeczy i ludzi, cechę właściwą wyłącznie Warszawianom i nie było wielką przesadą widzieć w nim na obczyźnie symbol żywy tej kochanej stolicy naszej, tak, jak król Zygmunt jest jej symbolem kamiennym.

Pani Nakwaska, z domu Potocka, dawniej piękność pierwszorzędną, była w późniejszym wieku jedną z najzacniejszych matron polskich, u której wysoki rozum, wszystkie cnoty domowe i serce szczeropolskie łączyły się z najwytworniejszym obejściem i salonowym dowcipem¹⁾. W domu państwa Nakwaskich byłam jak między krewnymi, bo rodzina moja macierzyńska pochodziła z teje samej płockiej

¹⁾ Pani Karolina Nakwaska była autorką kilku dzieł, z których najwięcej rozpowszechnionem jest: „Dwór polski, przewodnik dla gospodyń“.

ziemi i zaprzyjaźniona z Nakwaskimi od kilku pokoleń. Dzięki zachodom pana Henryka Nakwaskiego, prezydent kantonu genewskiego, James Fazy, dał mi paszport pod obcym nazwiskiem jako rodowitemu z tego kantonu i z tym paszportem otrzymawszy oczekiwany fundusz puściłem się w drogę przez Turyn do Genui, gdzie zamierzałem wsiąść na statek parowy, idący do Konstantynopola. W Turynie zatrzymałem się dwa dni; byłem z listem Aleksandra Walewskiego u posła francuskiego, pana Bois le Comte, ażeby popróbować czy mi się nie uda otrzymać miejsce bezpłatne na statku parowym, należącym do rządu i udało mi się. Pan Bois le Comte wyrobił mi w 24 godziny bezpłatne miejsce pierwszej klasy na tym statku, pomimo mojego szwajcarskiego paszportu. Korzystając z czasu, który mi przeczekać trzeba było w Turynie, odwiedziłem generała Chrzanowskiego. Było to już po bitwie pod Novarą, stoczonej podczas gdy byłem w Badeńskiem czy w Szwajcaryi i zastałem naszeszego generała przybitego tą klęską, lubo nikt na świecie nie przypisywał jej jego winie. Jemu jednemu zdawało się, że honor jego ucierpiał, że dobra sława, jaką sobie zarobił w 1831 roku, zaćmiła się pod Novarą.—„Wyżej ja stałem przed tą bitwą, —mówił mi—lubo naczelnie wojskiem pierwej nie dowodziłem, potrzebaż mi było dowodzić Włochami, powszechnie znanymi z tchórzostwa; król i ja byliśmy tam w największym ogniu, ażeby dać przykład wojsku i nie to nie pomogło—żołnierze uciekli, zostawiając na polu bitwy i nas obydwóch i swoich oficerów, których ani słuchać chcieli. Nie ma tu co

mówić, czy plan bitwy był zły czy dobry, najlepszyby się z takim żołnierzem nie udał“.

Zwątpienie i zniechęcenie, w jakie popadł Chrzanowski, oddziaływało nawet na jego opinie polityczne. Człowiek ten, wyszły ze szkoły Kostan-
tego, który porządek tak w wojsku jak w całym społeczeństwie widział tylko w tych trzech warunkach: władza jedna—hierarchia—karność—gdy rozmowa nasza przeszła do obecnego stanu Europy, biorąc mnie za republikanina, jakim nigdy nie byłem odnośnie do Polski, czynił mi ustępstwa. — Jeżeli wkoło — rzekł mi—będą wszędzie republiki, to i my będziemy republiką, zgadzam się na to, lecz jeżeli około nas będą same monarchie, to i my musimy być monarchią.—Ach, generale—odrzekłem—miejmy najprzód Polskę jakąkolwiek, a potem zobaczymy, co mamy z nią czynić. — Mówiliśmy następnie o wojnie węgierskiej; generał nic dobrego o niej nie wróżył, odradzał mi nawet awanturowania się na teatr walki. Rzeczywiście od kilku tygodni nie dobrze szło Węgrom. Wojska rosyjskie były już na ich ziemi i nigdzie silnego nie znajdowały oporu. Już były panami Debreczyna, Szegedyna i zagrażały Pesztowi; z drugiej strony armia austriacka, wzmocniona dywizją siedemnastotysięczną Paniutyna, pobiła była Węgrów pod Raab i postępowała naprzód ku twierdzy Komorn. Nie rozpaczałem jednak jeszcze o sprawie węgierskiej, mając na uwadze, że armia austriacka i rosyjska nie wynoszą obie razem podług gazet więcej nad 160,000 ludzi; węgierska zaś liczyła wprawdzie tylko 130,000, lecz miała w swoim posiadaniu silne

fortece i nader obronne pozycye. Powstanie w Polsce na tyłach armii rosyjskiej mogło więc przeważać szalę na stronę Węgrów i Polaków. Przedstawiłem to generałowi, lecz go nie przekonałem. Powtarzał, że Węgrzy nie będą mieli ani odwagi, ani siły opierać się Rosyi, każdy z nas został przy swoim zdaniu, przyznać jednak muszę, że walczyłem z wewnętrznym uczuciem, które przemawiało za Chrzanowskiego sposobem widzenia.

Nazajutrz późnym wieczorem przyjechałem dyliżansem do Genui, bo jeszcze nie było kolei żelaznej z Turynu do tego pięknego portowego miasta. Przebiegłem jeszcze tegoż wieczora ulice Strada Balbi, Strada Nuova, Strada Nuovissima, ozdobione pałacami z białego marmuru, które przy świetle księżyca wydawały mi się jakby cudne jakieś dekoracye. Nie znałem nikogo w Genui, ale mi Józef Sobolewski dał był list do jednego swojego protegowanego Polaka z poleceniem, ażeby mi służył za przewodnika, tylko na liście nie było wskazanego mieszkania tego Polaka. Nie frasowało mnie to, wiedząc, że Sobolewski tak jest znanym w Genui, że do jego domu jaknajłatwiej trafię, i pewny byłem, że tam się o owym Polaku wywiem. Zawiodłem się. Do domu Sobolewskiego zaprowadził mnie wprawdzie faktor hotelu, gdzie wysiadł, ale słudzy Sobolewskiego, Włosi, nazwiska owego Polaka nie znali, pytali mnie się jak wygląda, a że nie umiałem im tego powiedzieć, musiałem z niezem wrócić do hotelu.

Ten zawód wynagrodziła mi miła bardzo i prawdziwie szczęśliwa niespodzianka. Przemysłiwając

nad tem, jak wynaleźć protegowanego Sobolewskiego, zawołałem faktora i zapytałem, czy nie wie o jakimkolwiek Polaku, przebywającym w Genui. Odpowiedział mi: *Si, si Signore, conosco una familia polacca.*

— Familia polska!—wykrzyknąłem—ale jesteśże pewny, że polska, bo wy tu wszystkie narodowości mieszacie, nawet Piemontczyka gotowiście wziąć za Polaka.

— Nie panie, to polska familia, zaręczycie to mogę, i jeżeli pan chcesz, zaprowadzę go do niej.

— Prowadź.

Faktor prowadzi mnie do jednego domu na pierwsze piętro, dzwoni. Drzwi nam otwiera pani jakaś nie wielka, szczupła, nie bardzo młoda, ale z nader miłą twarzą, czarnowłosa, czarnooka i z cerą południową. Pewny byłem, że to Hiszpanka, Francuzka południowa, Włoszka, może nawet Neapolitanka, którą faktor uznał za Polkę i bardzo nieśmiało odzywam się: czy pani Polka!

— A juścić Polka panie—odpowiada.

Uradowany pytam się jej o Polaka, którego szukam.

— Nie potrafię—odpowiada mi—objaśnić pana, ale zawołam męża albo syna, który zapewne będzie mógł mu powiedzieć wszystko, czego żądasz, tymczasem zechciej pan wejść do pokoju — i wprowadziła mnie do bardzo porządnego saloniku, a sama wyszła. Wkrótce wróciła z dorodnym wybujałym, jasnowłosym młodzieńcem, który wypisał mi na kar-

teczce adres poszukiwanego przezemnie Polaka i tę kartkę mi wręczył. W trakcie tego wchodzi do pokoju drugi mężczyzna, stary, z siwą głową, ogromnie także wysoki, ale trochę zgarbiony, siada przy mnie na kanapie, i wszeczyna rozmowę, do której się matka i syn mięszają; ośmieliłem się spytać z kim mam zaszczyt mówić. — Jestem Wiszniewski, odpowiedział mi. — Michał? — Tak jest. — Jakżem szczęśliwy, zawołałem żywo, że mi przypadek pozwolił zrobić znajomość pańską. — Istotnie byłem z tego szczęśliwy, bo miałem wielką cześć dla autora monumentalnej Historji literatury polskiej, Charakterów rozumów ludzkich i innych dzieł znakomitych. Przypomniałem sobie wtenczas, że m slyszal, iż Michał Wiszniewski osiadł w Genui i został bankierem, ale zarazem, że stroni od współziomków zniechęciwszy się do nich najzupełniej. — Przedłużyłem więc jeszcze rozmowę, naprowadziłem ją na jego dzieła i spytałem go, czy rzeczywiście skruszył pióro swoje na zawsze, jak to powiadają. — A czyż to warto pisać w rodzinnym naszym języku, odrzekł, ażeby, rzuciwszy w świat dzieła, które kosztowały długie lata, czasem życie całe mozolnej i sumiennej pracy i zawierają w sobie czasem kwintesencję ogromu przetrawionej nauki i myśli wypróbowanej w długich rozważaniach — rzuciwszy to w świat, widzieć lada chłystka bez nanki, bez talentu, wyrokującego w gazetach o tej pracy tonem profesora, który ma przed sobą ćwiczenie studenta i widzieć publiczność, czerpiącą sąd swój z takich wyroków. — Och biedne jest, panie, u nas rzemiosło pisarza, dobrze robisz, że się do niego nie bierzesz;

wszędzie daje chleb, przynosi poważanie, prowadzi częstokroć do dostojęństw i do władzy; u nas pisarz z głodu by umarł, gdyby nie miał innego źródła dochodu, a pod względem poważania najwyższy honor, jaki go spotkać może, jest być zaproszonym na święcone do wielkiego pana z tłumem różnobarwnej publiczności. Prawdziwego, ogólnego poważania nikt się u nas nie dorobi nauką i piórem.

Zaprzeczałem temu jaknajzywiej.

* — Nie mówię tego o Warszawie—ciągnął dalej — ale o Krakowie i mówię to panu z własnego doświadczenia. W 1846 r. miałem to złudzenie, że sobie pracę zarobił na poważanie młodzieży i usiłowałem wstrzymać ją od szalonego powstania, które kraj cały mogło wepchnąć w otchłań; otóż o mało mnie kijami nie wytłukli, a wszyscy poszli za Tyrowskim, o którym pierwaj nikt nie słyżał w Krakowie. Wyjechałem zaraz z kraju, otrząsłszy pył z nóg moich. Świeżo spadła była na mnie dosyć znaczna sukcesya, którą jużem był spieniężył. Z tym kapitałem wyniosłem się do Genui, gdzie z profesora i pisarza zrobiłem się bankierem.—Tu zwrócił rozmowę do Genni, zapytał mnie czy nie mam chęci zwiedzić pięknych pałaców tamtejszych i ofiarował mi się za Cicerone, zrobiwszy mi uwagę, że parostatek odplywa dopiero za cztery dni, co mi daje trzy dni czasu do zwiedzenia osobliwości miasta. Oczywiście, przyjąłem tę ofiarę z największą wdzięcznością. Wiszniewski zaprosił mnie na obiad na dzień następny i przyrzekł po obiedzie zacząć ze mną przegląd pałaców.

Obiad Wiszniewskiego był nową niespodzianką — dano barszcz z uszkami, zrazy, pierożki, wszystko przyrządzone przez panią Wiszniewską. W Genui było to osobliwością, wprawdzie innego rodzaju, niż pałace marmurowe, miłą jednak dla mnie. Michał Wiszniewski był w doskonałym humorze, przyczem pokazało się, że pesymizm jego w poglądach na Polskę nie był tak czarnym, jakim mi się dnia poprzedniego okazał, lub też odnosił się wyłącznie do losu literatów w naszym kraju. Mówiliśmy o bitwie pod Novarą i spełzonych usiłowaniach Włochów, ażeby odebrać Austryakom Medyolan i Wenecyę. — Trochę lepiej pono — odezwałem się — biliśmy się w 1831 r. nie chwając się zbyt. — Ha! — wykrzyknął Wiszniewski — gdyby Włosi mieli szlachtę taką, jak Polska, przy środkach, jakie posiadają, to nie byłoby już oddawna Austryaków na ich ziemi. — Myślałem, że mówi to z ironią — odgadł moją myśl. — Mówię to szczerze — rzekł. — Przejdź pan świat, a nie znajdziesz nigdzie kasty tak poświęconej dla ojczyzny, tak walecznej a przytem tak rozmnożonej jak szlachta polska. I rozgadał się o szlachcie naszej *con amore* na ton Henryka Rzewuskiego. W końcu szepnął mi, jakby wyznanie wdzierające mu się z serca. „Nie bierz tego *ad litteram*, com mówił, zem pióro moje na zawsze skruszył, mam jeszcze na myśli skreślić obrazki szlachty naszej, znajdziecie to po śmierci mojej¹⁾).

¹⁾ Nie jednak podobnego, o ile wiem, nie zostało po nim. Wdał się w wielkie przedsięwzięcia dróg żelaznych, w których majątek jego przepadł i nie miał czasu oddawać się literaturze.

Podług przyrzeczenia oprowadził mnie autor historii literatury naszej po Genui i nie skończyło się na jednym razie. Nazajutrz i trzeciego dnia pokazywał mi dalej wszystko, co godne widzenia w tem mieście — najpiękniejsze pałace, kościół katedralny, zbudowany ze sztuk czarnego i białego marmuru na przemian, port, wille na spadku Apeninów, skały z czarnego marmuru, sterzące nad morzem za portem. Nie będę tego wszystkiego opisywał, lecz przytoczę słowa, z jakimi się odezwał do mnie, gdyśmy oglądali pałac Bringolles-Salle, najpiękniejszy ze wszystkich w Genui. Główny pokój jest tam cały niepokalanej białości jakby świątynia niewinności. Ściany, sufit, posadzka, dwa ogromne kominy, jeden naprzeciw drugiego stojące i cudnie rzeźbione, wszystko jest z białego marmuru bez jednej żyłki odmiennej. Nad kominami są zwierciadła weneckie, z dwóch stron portrety w całej wielkości członków rodziny Brignolles-Salle w XVI wieku pędzla Rubensa i Van Dyck'a, którzy przebywali jeden po drugim czas jakiś w Genui i malowali portrety wszystkich ówczesnych patrycyuszów tego miasta—ale co najwięcej zadziwia w tym pokoju zwykłych śmiertelników, to posadzka, w której nie widać śladu złączeń między składającymi ją płytami białego marmuru; zdaje się być cała z jednej sztuki, podobna do rozlanego mleka.

— No i cóż panie—zawołał Michał Wiszniewski—jest to trochę inaczej jak w naszych polskich pałacach, a cóżby powiedział nasz szlachcic wiejski, gdyby go tu wprowadzono; jakżeby się przewróciły wszystkie jego wyobrażenia o wykwintności i prze-

pychu w mieszkaniach — i śmiał się serdecznie za-
 cny nasz uczoney, bo i on, czy był luminarzem uni-
 wersytetu Jagiellońskiego, czy bankierem w Genui,
 nigdy nie przestał być szlachecciem pod skórą.

W ten miły sposób zeszło mi trzy dni w Ge-
 nuu. Czwartego dnia parostatek odpływał do Kon-
 stantynopola. Rankiem pożegnałem się z Michałem
 Wiszniewskim i jego rodziną. Wszyscy oni wstrzy-
 mywali mnie przez te trzy dni od mojej zamierzo-
 nej wyprawy, ale odpowiadałem, że to dla mnie
 kwestya honoru, gdyż z wielu względów byłem ze
 sprawą węgierską związany. Nie mogąc zbić tej
 racyi, pobłogosławili mnie stary Wiszniewski i jego
 żona na drogę.

Przed godziną, naznaczoną na wyjazd statku,
 byłem w porcie z moim skromnym tłumoczkim i
 przechadzałem się w towarzystwie protegowanego
 Sobolewskiego, który, stosownie do danego mu po-
 lecenia starał się być mi użytecznym — czekałem już
 tylko na głos dzwonka na statku, gdy w tem spo-
 strzegłem Wiszniewskiego syna, biegnącego do por-
 tu co mu tchu stało i powiewającego chustką z da-
 leka. Pobiegłem naprzeciw niego. „Nie masz pan
 czego jechać do Węgier — zawołał — wszystko tam
 już skończone. Oto jest depesza telegraficzna, którą
 tylko cośmy odebrali, donosząca, że, 13 sierpnia,
 pod Villagosz, Görgöi z główną armią węgierską
 poddał się”...

Depesza ta położyła ostatecznie koniec nadzie-
om i marzeniom, które mnie w październiku poprze-

dniego roku powiodły do Węgier a następnie z Węgier do Francji. Lepsza byłaby kulka rosyjska pod Temeswarem, ale nie moja wina, jeżeli tam zdążyć nie mogłem. Szczęśliwy byłem przynajmniej, że mnie zacytował Michał Wiszniewski ustrzegł od niepotrzebnej waleśki do Konstantynopola i za to zachowałem wdzięczną cześć dla jego pamięci.

XVIII.

Zanim zamknę te wspomnienia, niech mi wolno będzie rzucić wejrzenie na opisaną przezemnie epokę ze stanowiska dzisiejszego, to jest z odległości trzydziestu ¹⁾ lat, które nas od niej przedzielają. Wielki ruch ludów w 1848 r. został na całej przestrzeni Europy powstrzymany i wszędzie nastąpiła reakcyja wroga wszystkim ich dążnościom. We Francyi Napoleon III ujął w rękę władzę prawie absolutną, obróciwszy na swoją korzyść głosowanie powszechne. W Niemczech zakwitł na nowo stan rzeczy z 1815 roku z sejmem frankfurckim, a ustępstwa, poczynione duchowi wieku w różnych państwach rzeszy, zmieniły się w cześć formę. Austria wróciła do systemu Metternichowskiego, srodze obostrzonego dla Węgrów, których prawa historyczne pochłonięte zostały w ogólnem zcentralizowaniu wszystkich składowych części monarchii. Włochy widziały się już skazane na wieczne rozszarpanie

¹⁾ Pisane w r. 1878.

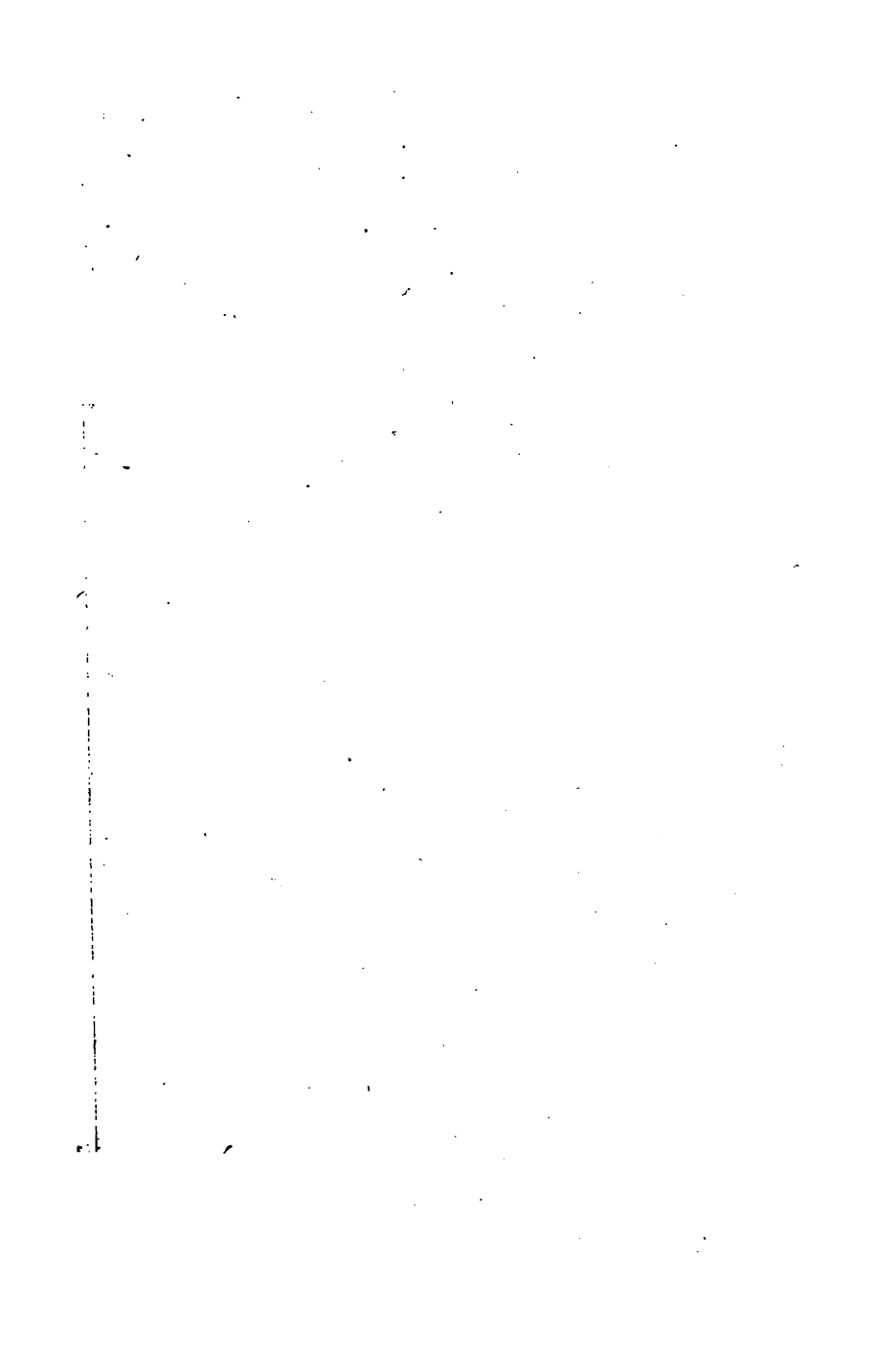
i pod ręką Austrii, ciężącą na Wenecyi i Medyolanie, Karol Albert—*la spada d'Italia*—zrozpaczony złożył koronę i pojechał umrzeć w Portugalii, a dawni *Carbonari* rozpoczęli na nowo swoje spiski podziemne pod kierunkiem Mazziniego i wysyłali na ukoronowanego Carbonaro—Napoleona III—Orsiniego, Pianotego i innych, póki mu nie przypomnieli dawniejszych jego przysiąg.—Jednak cóż dzisiaj widzimy? Oto Francya jest znowu rzecząpospolitą i osadzoną podobno na silnym gruncie; Niemcy są zjednoczone i choć na pozór konstytucyjne; Włochy także zjednoczone, konstytucyjne i dążące dalej—zbyt zuchwale—do republiki; ludy Austrii mają autonomię i swobody; Węgry uzyskały wszystko, czego pragnęły, nim zmuszone zostały chwycić za broń—zgoła program 1848 roku jest dziś w najznaczniejszej części wykonany—nie przez siły rewolucyjne, lecz przez samą moc okoliczności. Nie należy ztąd wnosić, że prądy 1848 roku wynikały z pewnych praw historycznych, przeciw którym ani monarchowie, ani żelazni kanclerze, ani stronnictwa trzymające się zapamiętałe przeszłości, nie nie mogą—bo te prawa rządzą ludzkością a nie pojedynczy ludzie, nie koterye--i możemy wierzyć, że program 1848 roku będzie z czasem w całości logicznie i konsekwentnie spełniony, to jest, że sprawa polska, która w nim pierwsze zajmowała miejsce, będzie rozstrzygniętą podług sprawiedliwości — cywilizacyi i ogólnego interesu Europy — bo, jak powiedział bardzo rozumnie arcyksiążę Jan: „Przywrócenie Polski jest rzeczą konieczną, a co jest koniecznym, to stać się musi”.



K O N

Katal. Nr.

Inwent. Nr. 2360/11







Stanford University Libraries



3 6105 013 573 378

CECIL H. GREEN LIBRARY
STANFORD UNIVERSITY LIBRARIES
STANFORD, CALIFORNIA 94305-6004
(650) 723-1493
gncirc@sulmail.stanford.edu
All books are subject to recall.

DATE DUE

--	--

1